ROCZNIK VI.

TOM II.

NR. 72.

GRUDZIEŃ.

1910.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

DRA FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW

REDAKCYA UL. GARNCARSKA 2.

ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański"

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Garncarska** 2.

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki.** Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 72-go:

(Grudzień 1910). Str.

LEW TOŁSTOJ.

W liście Tołstoja do bliskiego przyjaciela, poety A. A. Feta, z r. 1869, czytamy następujące słowa: „Wiesz, czem było dla mnie to lato? Nieustającym zachwytem nad Schopenhauerem i jednym ciągiem duchowych rozkoszy, jakich dotąd nie doświadczałem. Sprowadziłem wszystkie jego dzieła, czytałem je i czytam (przeczytałem też Kanta). I to pewne, że żaden student w ciągu kursów swoich nie uczył się i nie dowiedział się tyle, co ja tego lata; nie wiem, czy zmienię kiedy swoje zdanie, ale teraz przekonany jestem, że Schopenhauer jest najgenialniejszym z ludzi. Mówiłeś, że on coś tam pisał o rzeczach filozoficznych. Jakto coś tam? To świat cały w niesłychanie jasnem i pięknem odbiciu!“ — Nauka Schopenhauera była pierwszem silnem i wyrazistem odbiciem myśli indyjskiej w Europie; nauka Tołstoja jest tą myślą w szatę chrześcijaństwa ubraną.

Pociąg do pessymizmu, który myśli indyjskiej najznamienniejszą cechę stanowi, przyniósł Tołstoj ze sobą na świat. Niezmiernie silne i intenzywne czucie małości człowieka i marności jego istnienia na tle ogromu wszechświata wraz z płynącem ztąd przeświadczeniem o owej infinita vanità del tutto, na którą ze smutną rezygnacyą spoglądał Leopardi, zbliżało go już w zaraniu twórczości (choć sprawy z tego sobie nie zdawał), z pessymistycznemi dumaniami Buddy i Schopenhauera. Charakterystycznem zaś dla niego jest to, że wrodzony mu pessymistyczny na tle panteizmu instynkt szedł w parze nie z biernością usposobienia, ale na odwrót, z potężnym rozmachem sił żywotnych, z żądzą nadzwyczajnych czynów, z ogromną ambicyą. Opowiada o tem sam Tołstoj w autobiograficznej powieści Młodość (por. t. III.).

Znamienniejszem jeszcze jest zdarzenie z dzieciństwa pisarza, przytoczone we wspomnieniach szwagra jego, Bersa. W siódmym czy ósmym roku życia poczuł w sobie Tołstoj namiętną chęć latania po powietrzu. Zdało się jemu, że to zupełnie jest możliwe, trzeba tylko przykucnąć, objąć rękami kolana i im silniej kolana ściśnięte będą, tem wyżej uda się wzlecieć. Myśl ta nie dawała mu spokoju, dopóki jej nie wykonał. Wlazł na okno, wszystko, co należało, zrobił, — i spadłszy z wysokości koło sześciu metrów, mocno się potłukł i nie mógł o własnych siłach wstać.

Takie pomieszanie rzeczywistości z cudownością — pisze o tem Mereżkowski[1]) — rzeczy przyrodzonych z nadprzyrodzonemi, jest czemś więcej, niż zwykłą głupotą 7-letniego dziecka.

To szał, w którym kiełkuje nasienie jakiegoś upojenia sobą, opartego na bezgranicznej wierze w swoją moc, w zdolność swoją do genialnych odkryć; ten pomysł dziecinny zapowiada już jakieś waryackie oddawanie się marzeniom o rzeczach niemożliwych, dochodzące aż do chwilowych obłędów.

Te przeciwieństwa — czucia małości człowieka i żądzy wielkich nadzwyczajnych rzeczy — znajdują syntezę w tem, co u Tołstoja było najsilniejsze, w czem się jego indywidualność streszczała: w sumieniu, w świadomości moralnej, w tej wewnętrznej potrzebie wyjaśnienia moralnego stosunku człowieka do świata, która go od młodu dręczyła niepokojem pytania: jak człowiek, rzucony w wir wszechświata, ma dostroić swoją małość do jego ogromu, swoją nędzę do jego piękna, co ma czynić, aby z małości swej i nędzy wyjść, słowem: jak ma żyć.

Po roku 1883 wyrzekł się Tołstoj wszystkiego, co pisał przedtem. — Niesłusznie. — Rok ten nie stanowi linii granicznej, zwrot nie był nagły; został przygotowany przez całą uprzednią twórczość mistrza. Szukanie prawdy było w nim namiętnością; cechowało wszystkie jego utwory, począwszy od najwcześniejszych. Wszystko, co pisał, jest wyrazem nieustającego rachunku sumienia, które zadręcza siebie pytaniami o znaczeniu i celu życia. Wstręt do siebie oznaczył Tołstoj, jako jedno z tych uczuć, które w nim od dzieciństwa najsilniej się objawiały. Niepokoiło go to,

---

[1]) Religia Tołstoja i Dostojewskiego. Petersburg 1903. — Por. t. II. str. 503—504.

że spędzał życie w dostatkach i wygodzie, gdy inni w pocie czoła na kawał chleba pracować muszą. Widok chłopa przy pługu lub żniwie upakarzał go: „Choć lud nie istniał dla mnie, jednak ile razy w czasie przechadzek swoich spotykałem pracujących chłopów lub chłopki, doznawałem zawsze nieświadomego, a silnego zakłopotania, starałem się, aby mnie oni nie widzieli“.

I to zakłopotanie, ten wstyd, ta gorzka świadomość własnej winy wobec chłopa, który dla niego pracuje, wobec tych milionów ludzi, przez warunki życia na nieustanne trudy i znoje skazanych i jakby za niepopełnione jakieś zbrodnie karanych niedostatkiem i nędzą, a jednak pod względem moralnej wartości nie ustępujących jemu, wybrańcowi losu — uczucia te nie opuściły go nigdy, one mu były natchnieniem, gdy swoje wczesne utwory kreślił; one krokiem jego kierowały, gdy w przededniu śmierci opuszczał na zawsze dom i rodzinę.

Ale w młodości buchała w nim z żywiołową siłą panteistyczna miłość natury, napełniając go burzliwą jakąś radością, która wśród niepokojów i wątpień wlewała weń otuchę i siłę życia. Lecz w miarę lat owa bujna żywotność natury, rwącej się do życia i przejmującej się uczuciami i namiętnościami związanemi najściślej z życiem ziemskiem, realnem, staje w coraz gwałtowniejszym zatargu z przeświadczeniem o nicości wszystkiego, co w tem życiu wabi i kusi. Największe z jego dzieł *Wojna i pokój* powstało pod natchnieniem ziemskiego uczucia patryotyzmu, ale przeciw uczuciu temu podnosi się tam protest, który w każdem sercu szlachetnem budzi okrucieństwo wojny; dość zaś jest z tej strony na wojnę spojrzeć, aby zatopić się w bólu pessymistycznych, do negacyi ziemi i życia prowadzących rozmyślań o nierozerwalności bytu i bólu.

Ta negacya, to czucie nicości rzeczy zmiennych, najsilniej i najwspanialej wystąpiły w nieśmiertelnym ustępie, dobitniej, niż wszystko inne w twórczości jego, streszczającym nastrój, który mistrz przyniósł ze sobą na świat, któremu pozostał wierny aż do śmierci — a z nastroju tego wypłynęła cała jego filozofia i religia. To bitwa pod Austerlitz; książę Andrzej ranny padł na wznak, walka kipi gdzieś już daleko od niego; on leży i patrzy w niebo: „Nad nim nie było nic prócz Nieba, nieskończenie wysokiego nieba, z powolnie płynącemi po niem szaremi obłokami. Jak cicho, spokojnie, uroczyście płyną te obłoki na wysokiem nieskończonem niebie — pomyślał ks. Andrzej — jak od

miennie od nas, gdyśmy biegli, krzyczeli i bili się — i jak to stać się mogło, że dotąd tego nieba nie widziałem, i jakże szczęśliwy jestem, że je nareszcie poznałem. Tak, wszystko próżne, wszystko jest fałszem prócz tego nieskończonego nieba. Nic, nic niema prócz niego, ale i jego nawet niema, nic niema prócz ciszy, ukojenia. I chwała Bogu"... Bitwa się skończyła, a książę Andrzej wciąż leżał; nieznośny czuł ból i żar w głowie; krew ciekła; on jęczał, cichym, dziecinnym, politowanie budzącym jękiem. Napoleon ze sztabem objeżdżał pole bitwy. Voilà une belle mort — powiedział on patrząc na ks. Andrzeja. „Książę Andrzej zrozumiał, że było to powiedziane o nim i że mówił sam Napoleon. On słyszał jak tytułowano Sire tego, kto słowa te powiedział. Ale on słyszał te słowa, jak gdyby słyszał brzęczenie muchy. Nietylko nie zajęły go one, lecz nie zauważył i zaraz zapomniał"... „On wiedział, że to Napoleon, jego bohater, ale w chwili tej Napoleon wydawał mu się tak marnym i małym człowiekiem w porównaniu z tem, co się działo teraz między duszą jego, a wysokiem nieskończonem niebem, z płynącemi po niem obłokami"... „Tak marnemi wydawały mu się wszystkie sprawy, które zaprzątały Napoleona, tak małym sam bohater jego z nędzą swej próżności i radością ze zwycięztwa wobec wysokiego sprawiedliwego i dobrego nieba, które on widział, i które poznał".

Czytałem „Wojnę i Pokój", będąc w gimnazyum. Nie wiedziałem wówczas, czem jest buddyzm; o panteizmie pojęcie miałem bardzo słabe; czytałem nie filozofując, a odczuwając tylko i rozkoszując się pięknem obrazów — i obraz księcia Andrzeja rannego i patrzącego w błękit pozostał mi na zawsze w pamięci. Instynktem odczułem wtedy tołstoizm Tołstoja. I odtąd rzadko w życiu mojem dzień mijał, w którym nie przesunąłby się przedemną leżący na polu bitwy ks. Andrzej ze wzrokiem utkwionym w nieskończone jasne niebo, przed którem tylko nicością są namiętności wszystkie, wszystko, co myślą o tem niebie nie jest, chociaż wydaje się ważnem i wielkiem. Niby modlitwa, obraz ten wznosił mnie ponad sferę rzeczy przechodzących.

Zaprzeczeniem owego „wysokiego nieskończonego" nieba, w którem książe Andrzej odkrywał w najuroczystszej chwili swego życia rozwiązanie zagadki bytu, jest oddanie się życiu zmysłowemu — i negacya zmysłowości tak nawskróś przenika następne wielkie dzieło Tołstoja: Annę Kareninę, że zarzucono mu,

iż wpadł w przeciwną ostateczność, w bezcielesną duchowość, którą Mereżkowski nazwał buddyjskim nihilizmem.

Buddystą jednak Tołstoj wtedy nie był, niejedno wiązało go z życiem, lecz szybko zbliżała się chwila wytrzeźwienia. „Człowiek może żyć — czytamy w jego Spowiedzi — tylko, dopóki jest pijany życiem, ale skoro wytrzeźwieje, to nie może nie wiedzieć, że wszystko jest tylko kłamstwem — i głupiem kłamstwem“.

Godne zaś uwagi to, że wytrzeźwiał Tołstoj nie wskutek ciosów jakichś, któreby nań nagle spadły. „Jeśliby przyszła czarodziejka — wyznaje on — i powiedziała mi, że spełni moje życzenie, jabym nie wiedział, czego mam życzyć“.

Życie jego było wyjątkowo szczęśliwe. Był otoczony liczną kochającą rodziną, posiadał znaczny majątek, dobre zdrowie, a sława jego imienia rozbrzmiewała po świecie.

Ożenił się w 35 roku życia i bezchmurne płynęły odtąd jego lata w Jasnej Polanie. Jego życie rodzinne przedstawia mocną harmonijną całość, jeśli nie doskonałą, to wykończoną a zatem piękną, słowem coś, co się nader rzadko w społeczeństwie rosyjskiem zdarza. Trafnie i pięknie porównał Mereżkowski to życie wśród rodziny ze „starodawną idyllą pasterską pod niebem stepu, nad falami stepowych oczeretów“... „W rysach jego twarzy surowej i zmysłowej, prawie grubej, chłopskiej, a jednak subtelnie uduchowionej, maluje się nie bezcielesna jakaś świętość, ale okazałość i majestat któregoś ze starych patryarchów, którzy stada swoje paśli pomiędzy studniami pustyni i radowali się z potomstwa licznego, jak piasek morski“.

I oto nagle wśród tej sielanki ten przezorny gospodarz, ten dobry pan dla sług i domowników, ten kochający mąż i ojciec, ten obywatel społecznym obowiązkom oddany a zarazem rozumnem używaniem dóbr życia zajęty i dzielący się nimi z najbliższymi, ten mędrzec dostojnością podobny do patryarchów Izraela, Abrahama, Izaaka i Jakóba, zaczyna czuć w sobie jakiś dziwny niesmak i przejmuje się wstrętem do życia, pchającym go aż w przepaść samobójczych myśli.

Skądże to przyszło? Wszak do tego, co ludzie nazywają zupełnem szczęściem, nie brakowało mu nic. Wyznał to w Spowiedzi. „I przytem — czytamy — nie byłem ani pomieszany na umyśle, ani moralnie chory; przeciwnie, siły fizyczne i umysłowe miałem takie, jakie rzadko u ludzi mego wieku spotykałem. Mogłem np. kosić siano, nie ustępując chłopom, umysłowo zaś pra-

cować mogłem ośm godzin z rzędu, nie doznając żadnych ujemnych skutków tego natężenia“...

Więc gdzież szukać przyczyny rozstroju? Odpowiedzi bezpośredniej na to niema. W każdym razie było to wynikiem tego czucia śmierci i tych myśli o istocie i celu życia, które go zawsze, od młodu zadręczały. Tylko teraz popsuła się nagle dotychczasowa równowaga między pesymistycznie usposabiającą świadomością swej małości, a żywością odczuwania wszystkich rozkoszy, które życie daje — i szala gwałtownie się przechyliła w stronę nieucieszonego smutku, płynącego z przeświadczenia, że jako ziarna piasku w pustyni lub fale na morzu, są wszelkie zabiegi, wszelkie zdobycze i radości ziemskie na tle nieskończonych istnień lecących jedna za drugiemi w otchłań śmierci. Tołstoj osiągnął był wtedy ów zenit życia, gdy wszystkie siły umysłu i ciała doszedłszy do rozkwitu, zaczynają z porządku rzeczy schylać się ku zachodowi — i człowiek, tracąc ochotę i zdolność do zachwytów i upojeń młodości, trzeźwieje i okiem niezamąconem mgłą złudzeń patrzy na rzeczywistość.

A „wytrzeźwienie“ to oznaczało u niego, że pozostał sam na sam z uczuciem, które go niegdyś wśród puszcz i gór Kaukazu z taką siłą pochłaniało, gdy zlewając się w jedno z otaczającym go światem rozmyślał nad tem, że tyleż po nim śladu zostanie, co po jeleniach lub bażantach, które w około niego cieszyły się z życia, „tylko trawa porośnie“... Ale wtedy ze smutku tej myśli wyrastał wdzięk panteistycznego zanurzenia się w nieskończonem pięknie natury, teraz zaś, gdy dawna żywość wrażliwości już utraconą była, podniosła się z głębin duszy jego i objęła całą jego istność, szpony swoje weń zapuszczając, świadomość nicości tych wrażeń, tych rozkoszy i smutków, tych marzeń i dążeń, które go dotąd zajmowały. Poczuł on, że załamało się to, na czem stał i czem żył i że niema już na czem stać i czem żyć.

Zrozumiał wówczas żywiej jeszcze i głębiej, niż przedtem, że jedyną prawdziwą filozofią życia jest ta, której dawniej nauczał Budda, a za dni naszych Schopenhauer; ale im głębiej w istotę ich nauki się zapuszczał, tem jaśniej widział, że ona, ta jedyna, sumienna, poważna i ścisła filozofia, uznając życie za coś takiego, co nie powinno być, za coś, co należy zniszczyć, utwierdzała go w jego rozpaczy, zamiast koić nadzieją. Pogodnej rezygnacyi Buddy i Schopenhauera nie pojmował, zobojętnieć dla życia

nie umiał. Słowem buddyzm nie wystarczał jemu. Przeciw azyatyckiemu buddyzmowi powstawały europejskie pierwiastki jego duszy, nie zdolnej, do wycofania się z życia. Azya i Europa, buddyzm i chrześcijaństwo, starły się ze sobą w tej duszy i szukały porozumienia.

Przewodnika znalazł wtedy w tym instynkcie życia, który mu mówił, że pojęcie życia jest nierozłącznie z pojęciem Boga związane, z wiarą w Boga, że tylko wiara ta daje treść życia, które poza Bogiem byłoby tylko pędem ku śmierci, krótkiem przejściem z nędzy narodzin do zgnilizny grobu. Ten zaś instynkt życia Tołstoj trafnie nazwał szukaniem Boga, dodając, że nietylko szukanie to nie było w nim wynikiem rozmyślań, ale było w bezwzględnem z niemi przeciwieństwie, szło bowiem z serca. „Skoro tylko uświadamiałem sobie, że istnieje moc, pod władzą której jestem, natychmiast zaczynałem czuć możliwość życia“; czyli osoba człowieka tak niezmiernie mała na tle wszechświata, olbrzymiała w oczach Tołstoja w tych chwilach, w których umiał wznieść się aż do odczucia związku człowieka z Bogiem. Człowiek jako stworzenie żywego Boga, mocno ze Stwórcą swoim związane, nosząc w sobie obraz i podobieństwo „Tego, Który jest“ — i tem samem do nieśmiertelnego istnienia przeznaczone, — porywał mu wyobraźnię i serce swojem nieskończonem wyniesieniem ponad człowieka, jakim go przedstawiała mu nauka t. j. zjawiającego się na fali bytu jako wynik jakiejś ślepej ewolucyi materyi, a zjawiającego się po to, aby znów zapaść w otchłań niebytu.

Ale czy można — zastanawiał się Tołstoj — za podstawę do życia brać wiarę, która w przeciwieństwie do wiedzy rozumnej, jest wiedzą bezrozumną, czyli poprostu nonsensem? Nietylko można, [lecz trzeba. Odrzucić tego „nonsensu“ człowiek niema prawa. Albowiem tylko „nonsens“ wiary nadaje życiu naszemu znaczenie, którego nie niszczą ani cierpienia, ani śmierć; on w nas wlewa siłę życia. A zatem jeśli wiara nie zgadza się z wnioskami rozumu, to zamiast przejść nad nią do porządku, trzeba wówczas siebie zapytać, czy wiara nie jest raczej wiedzą znaczenia życia, lecz wiedzą, do zdobycia której sam rozum nie wystarcza.

Dość mu zaś było pytanie to postawić, ażeby zrozumieć, że „prawdę zasłaniały przed nim nie tyle błędy myślenia, ile raczej samo życie, które prowadził dotąd, które prowadzą wyż-

sze warstwy w tych wyjątkowych warunkach epikureizmu i możliwości zaspokojenia wszelkich pożądań“. Zrozumiał on to, że zrozumieć chcąc życie i jego znaczenie, trzeba przestać być dogadzającym sobie we wszystkiem pasożytem, a zacząć żyć życiem rzeczywistem, czyli przyjąć to jego boskie znaczenie, które mu nadaje ogół ludzki, lud prosty, — i według tego, czyli „po Bożemu“ żyjąc, sprawdzić, czy rozwiązanie zagadnienia bytu, które daje wiara, jest prawdziwe. Innemi słowy, kto chce poznać rzeczywiste znaczenie życia, ten przedewszystkiem powinien przeobrazić własne życie, tj. wyrwać się z małości tego życia, z jego przywiązań do rzeczy doczesnych, znikomych, a żyć tak, jak gdyby życie miało znaczenie nieskończone.

Więc życie jest drogą do poznania prawdy absolutnej, a nie rozum.

W tej to właśnie teoryi poznania zawiera się oryginalność myśli Tołstoja. Zbliżył się on do Kanta, który także uznał był niezdolność rozumu teoretycznego do poznania prawdy, — ale negacyom tego teoretycznego rozumu przeciwstawił Kant afirmacyę rozumu praktycznego, dla którego rzeczą pierwszą, najpewniejszą, punktem wyjścia do życia i myślenia o życiu jest imperatyw sumienia, prawo moralne. Ale Tołstoj był wychowańcem epoki, na której filozofia pozytywna wyraźnie swoje piętno wycisnęła, więc na miejscu imperatywu moralnego, który jest faktem, lecz nie powszechnym faktem, jak twierdził Kant, nie bezpośrednią dla każdego pewnością, postawił doświadczenie. Przedewszystkiem doświadczenie zewnętrzne, wskazujące, że wbrew tej negacyi życia, do której dochodzi rozum, gdy się sumiennie nad światem zastanawia, ludzie żyją, a siłę do życia czerpią z wiary. Do tego doświadczenia zewnętrznego dołączał się głos głębszego wewnętrznego doświadczenia, który stwierdzał w człowieku istnienie instynktu życia, objawiającego się, jako żądza życia, silniejsza nad wszelką buddyjską czy schopenhauerowską negacyę bytu. I na tem oparł Tołstoj twierdzenie, że życie jest czemś pierwotniejszem, niż rozum — że rozum jest tego życia, tej siły czy woli życia wytworem — i dlatego w szukaniu prawdy zasadniczej: poco żyję — pierwszeństwo należy się temu instynktowi życia, nie zaś rozumowi.

Na miejscu imperatywu moralnego postawił Tołstoj imperatyw religijny, a to naczelne przykazanie jego nauki brzmiałoby tak: Ponieważ chcesz żyć wiecznie pomimo, że śmierć na ciebie

czyha i może w każdej chwili przeciąć pasmo dni twoich, więc, aby uniknąć śmierci, zaufaj instynktowi życia, który czynność twoją i życie rozszerza w nieskończoność, wiążąc z wiekuistem życiem Boga — a życie twoje nabierze wówczas znaczenia, wobec którego bezsilną będzie śmierć.

Zaznaczę tu w nawiasie, że w tym poglądzie, w tej teoryi poznania, miał Tołstoj wielkiego poprzednika w osobie równie genialnego jak świątobliwego reformatora teologii, kardynała Newmana, a wyprzedzał następców jego i ich filozofię czynu. Choć w inny sposób i innemi słowy, wyrażali oni tę samą myśl zasadniczą — ale spotkawszy się z nimi, Tołstoj szedł potem w przeciwną stronę — bo z pojęcia Boga nie chciał wyprowadzić pojęcia Kościoła.

Wyzwalając się z pessymizmu i afirmując Boga, wchodził Tołstoj w obręb chrześcijańskiego poglądu na świat, nie objął go jednak w całości. On wziął chrześcijaństwo, jako antytezę pesymizmu, jako afirmacyę pozytywnego ideału Królestwa Bożego przeciw negacyjności Nirwany, a nie dojrzał wspólności tu i tam punktu wyjścia, którym jest świadomość potęgi zła i konieczności wyzwolenia. Nie przyjął dogmatu grzechu pierworodnego, w którym tkwiąca w istocie pesymizmu idea upadku i wyzwolenia znalazła swój złagodzony chrześcijański wyraz. — Zasadniczą ułomność człowieka, którą uznaje religia chrześcijańska, i każdy kto trzeźwo patrzy na rzeczy, — ułomność tę tembardziej powinien był widzieć genialny badacz duszy ludzkiej, twórca Wojny i Pokoju i Kareniny, lecz zasłonił to wiarą — powiedziałbym wmawianiem w siebie jakiejś nie wiedzieć zkąd nagle zrodzonej i na niczem nieopartej wiary w potęgę i nieomylność rozumu, który jest pierwiastkiem Bożym w człowieku.

Tę wiarę możnaby nazwać nową formą owej żądzy nadzwyczajnych rzeczy i czynów, która go nieraz porywała ponad rzeczywistość, a w latach dziecięcych łudziła myślą, że potrafi wzlecieć i puścić się w zawody z goniącemi wśród chmur ptakami. Wraz z wielkim indywidualistą początku wieku Fichte'm, mógł on w upojeniu potęgą żądzy swojej zawołać, że Królestwo Boże urzeczywistnionem będzie „w życiu i przez życie, bo rozum rozkazuje mi żyć — urzeczywistnionem będzie, bo — ja jestem".

Mogłoby to wydać się tryumfalnym wzlotem ponad mroczną

otchłań nirwany, tem jednak nie było. Buddyjski pierwiastek myśli Tołstoja pozostał nietknięty — i nirwanę ze sfery tęsknień duszy zbolałej i życiem znużonej za jakiemś nie dającem się określić i ująć absolutnem przeciwieństwem istnienia, przeniósł on w sferę stosunków ziemskich. Trafnie wskazał p. Adam Grz. Siedlecki[1]), że naczelna myśl Tołstoja streszczała się w dylemacie: albo Chrystus, albo cywilizacya. Możliwości tej harmonii między jednem a drugiem, do której dążą najszlachetniejsze umysły Zachodu, nie przypuszczał, — więc przeklął cywilizacyę. A czemże jest cywilizacya? Jest wynikiem krzyżowania się i współdziałania rozmaitych pierwiastków i sił ducha, rozmaitych dążeń i celów; wyłania ona z siebie rozmaite formy myśli i życia — i jedne po drugich powstają one i znikają, nowym miejsca ustępując. Ale marnością i nędzą jest wszystko, co powstaje i znika, — i w tym wirze zmienności niema przytułku dla myśli, dla duszy, więc niepokój pędzi ją w objęcie nirwany...

Po buddyjsku marnością i nędzą świata przejęty, znalazł jednak Tołstoj punkt oparcia w Bogu, więc tam, a nie ku nirwanie myśl i duszę skierował. „Wierzę — nauczał[2]) — że życie nasze należy nie do nas, lecz do tego, który nam to życie dał, zsyłając nas na ziemię, i do którego po opuszczeniu ziemi wrócimy. Celem przeto życia jest pełnienie woli Jego, a wola ta jest jasna i prosta; polega na tem, żebyśmy się miłowali wzajemnie“. A że innej Woli Bożej niema i być nie może, więc złem jest wszystko, co nie jest bezpośredniem dążeniem do spełnienia tej woli, tego dążenia bezpośrednim wyrazem. Tu właściwy duszy rosyjskiej maksymalizm wystąpił z nieznaną gdzieindziej bezwzględnością. Więc precz z nauką i ze sztuką, o ile one nie prowadzą wprost do dopięcia naszego jedynego celu, precz z tem, co jest cywilizacyi wszelkiej podstawą, precz z państwem, albowiem jest zaprzeczeniem prawa miłości: z gwałtu powstało i gwałtem stoi, — precz z Kościołem, albowiem wchodzi w kompromis ze złem, uświęcając państwo. Ideały cywilizacyi zastąpione zostają nirwaną jakąś, którą mistrz rosyjski ze sfery metafizycznej, gdzie ją umieszczał buddyzm, ściągnął, ażeby nad sferą życia praktycznego rozciągnąć. Tę nirwanę my nazywamy anarchią, ale nad anarchią miało zaświecić słońce Chrystusa — i nie tro-

---

1) *Czas* 1910, Nr. 531.

2) *Le Chretiens et l'Etat* (Londyn, 1897).

szczył się mistrz o bezpośrednie następstwa nauki, której osnową był anarchizm. „Wierzę mocno, że Bóg wolę swoją rozumowi naszemu i sercu objawił nie dla nieporządku, ale dla porządku, i że z pełnienia tej woli tylko dobro płynąć może“[1]).

Urzeczywistnienie swego ideału anarchistycznego oparł on na reformie religii chrześcijańskiej — a jako reformator należy do tych, co najdalej zaszli. Rzeczywiste znaczenie prądów reformatorsko-religijnych polega na tem, że w łonie Kościoła, przeciw któremu się zwracają, budzą dążność do naprawy tego, co się popsuło. Oportet haereses esse. A z tego stanowiska na Tołstoja spojrzawszy, uznamy, że dokonał dzieła wielkiego. Nie było bowiem i niema pisarza, któryby tak odczuł obrzydliwość zła moralnego i z taką energią głosił absolutny charakter prawa Bożego, prawa miłości. Jest on wielkim geniuszem moralnym i jako taki, stanął wśród największych nauczycieli rodu ludzkiego. „Jeśli uznać — czytamy w jego Zmartwychwstaniu — że cokolwiek, choćby tylko w ciągu jednej chwili i w jakimś jednym wypadku może być ważniejsze nad uczucia miłości, litości i ludzkości, to nie masz zbrodni, której nie dałoby się spełnić na ludziach, nie czując się przytem winnym“.

Tak nauczając wzniósł się Tołstoj na wyżynę, gdzie go nie dosięgną żadne pociski; nauka, w osnowie której legły powyższe słowa, jest dobrodziejstwem; ona przeczyszcza duchową atmosferę czasów naszych.

I dodam w końcu, że w miarę lat pozbywał się Tołstoj tej bezwzględnej surowości w sądach o innych kierunkach ducha, która go cechowała nawet wtedy jeszcze, gdy kreślił powyższe słowa w Zmartwychwstaniu. Wnoszę to z rozmów moich z tymi, co go bliżej znali, że wypadki 1905 i 1906 roku, stanowiące jakby uwerturę do przyszłej rewolucyi, otworzyły mu oczy; może w niesłychanych okrucieństwach, których dopuszczali się pod hasłem „Ziemi i woli“ ciemni buntownicy wraz z ich niby inteligentnymi prowodyrami, usłyszał on daleki odgłos własnych nauk o ziemi, która jest Bożą i o posiadaniu własności, które jest bezprawiem — i dlatego to głębiej niż kiedykolwiek przejął się prawdą tego, co wygłosił był w Zmartwychwstaniu, że niema nic ważniejszego na świecie nad uczucia miłości, litości i ludzkości, albowiem dość dopuścić, że może być rzecz,

---

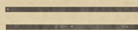
[1]) *ib.*

czy sprawa, mająca większe od tego znaczenie, ażeby usprawiedliwić wszelką zbrodnię. Nie słyszeliśmy odtąd z ust mistrza tych słów pogardy, którymi piętnował dawniej Kościół, jako zorganizowane oszustwo; pogodą miłości, cichym blaskiem zachodzącego słońca życia tchnęło wszystko, co mówił i pisał.

We wrześniu 1909 roku przyjaciółka Tołstoja księżna Dondukowa Korsakowa pisała do niego na łożu śmierci list, w którym żal swój wyrażała, że wielki pisarz „żyje nie według wiary, lecz według błądzącego rozumu ludzkiego“. W niezmiernie serdecznych wyrazach odpowiedział jej Tołstoj, skarżąc się, że wielki ból sprawiły mu jej słowa, naruszające prawo miłości: „Wszak to, w co człowiek wierzy, czem żyje, droższe dlań jest nad wszystko, nad matkę, żonę, dzieci, nad samego siebie. I oto ludzie, wierzący inaczej, niż ten, do którego się zwracają, mówią mu wprost, lub dają poczuć, że on jest w kłamstwie, a oni w prawdzie. Czyż można boleśniej człowieka obrazić?“... „Ja nie twierdzę, że wiara w boskość Chrystusa, w odkupienie grzechów przez śmierć jego, w sakramenta, jest niesprawiedliwą lub błędną, wiem tylko to, że wszystko to dla mnie jest niepotrzebne, skoro znam przykazanie miłości, jako jedyne przykazanie prawa Bożego i wszystkich sił duszy mojej używam do wypełnienia jego“... „gdy to czynię, czuję, jak powiedziano w liście Jana Ew., że Bóg jest we mnie, a ja w nim — i że miłując ludzi miłością chrześcijańską, ja nietylko się wyzwalam od wszelkich niepokojów, trosk i cierpień duchowych, ale doświadczam zupełnej szczęśliwości, której nie trwoży, jak dawniej, myśl o śmierci. Cóżem winien, że wypełnianie nauki Chrystusa możliwem jest dla mnie tylko wtedy, kiedy przykazanie miłości uznaję za jedyne, jedyne przykazanie. Bardzo być może, że innym ludziom potrzebne są jeszcze inne wierzenia, ale mnie one zawsze przeszkadzały“... „Był czas, kiedy czułem konieczność wiary, przyjąłem wtedy wiarę prawosławną, w której się urodziłem i wychowany byłem, przyjąłem ją sercem całem i duszą, wszelkiemi sposobami starałem się utwierdzić siebie w niej, spełniałem jej przepisy, badałem ją. Ale, niestety, znajdując zawsze odpowiedź na wszystkie wątpienia w nauce Chrystusa, nie znajdowałem ich w tem, co się nazywa wiarą kościelną“... „Miła Maryo Michajłowno, ja nie mówię, że jeden jestem w prawdzie, a błądzą wszyscy, co wierzą inaczej; proszę tylko tych innych, aby wobec mnie tak samo się zachowywali.

Nie *de gaieté de coeur* i nie wskutek próżności rozstałem się z prawosławiem, ale z żalem i bolem"... A zatem „szanujmy jedni drugich i, co najważniejsza, miłujmy się wzajemnie"...[1])

„Miłujmy się wzajemnie" — ten ideał, to przykazanie chrześcijańskie pojął Tołstoj, jako absolutne, nie dopuszczające żadnych ustępstw lub kompromisów — i z tego stanowiska osądził świat dzisiejszy. *M. Zdziechowski.*



UWAGA O CZECHACH W RACIBORSKIEM.

Spór czesko-polski o kresy Śląska, mimo rozmaitych prób kompromisowych, do tej chwili jeszcze nie załatwiony. Nie ustaje on ani na chwilę — a jeśli niekiedy w obustronnych kresowych organach prasowych nieco przycicha, to tylko na to, aby nazajutrz wybuchnąć ze zdwojoną gwałtownością i zaciekłością. Spór w prasie odźwierciedla tam tylko walkę, jaka toczy się bezustannie, jawnie lub skrycie na terenie spornym w każdej dziedzinie narodowo-politycznego życia. Jest to walka w całem tego słowa znaczeniu bratobójcza, osłabiająca ogromnie siły obu stron walczących — wobec wspólnego, odwiecznego ich wroga, który jako „tertius gaudens" ciągnie z niej sute zyski.

Nie mam zamiaru rozbierać tu kwestyi, po której stronie wina, a przynajmniej większa wina, że tak się dzieje. Gdybym bowiem przypadkowo doszedł do wniosku, że jest ona także po stronie polskiej, naraziłbym nie tylko siebie, lecz także *Świat Słowiański* i jego redaktora na zarzut „nieznajomości stosunków", a może nawet „zdrady narodowej", co najmniej zaś na tak poziome i niesmaczne ataki, jakich stał się on celem niedawno, gdy wypowiedział kilka trafnych uwag w tej sprawie. Z szowinizmem walka niezmiernie trudna, tak z czeskim jak i z polskim, ponieważ ani jeden, ani drugi nie jest dostępny dla argumentów rozumowych.

Nie będę więc wdawał się w rozbiór tej drażliwej kwestyi, zwrócę tylko naszym obrońcom tych kresów uwagę na jeden moment, jedną okoliczność, nad którą, jak się zdaje, nie zastanawiają się należycie.

---

[1]) Por. gazeta *Russkija Wiedomosti* Nr. 274.

Prasa nasza kresowa stwierdza z żalem i w tonie coraz nowych alarmów, że zaborcze machinacye Czechów w Cieszyńskiem odnoszą skutki dla nich aż nadto korzystne, dla nas zaś niezmiernie bolesne, bo rzeczywiście, czy to gwałtem, czy też rozmaitemi pokusami i przynętami przeciągają na czeską stronę setki, a nawet tysiące dusz polskich. Masową tę dezercyę kładzie się wyłącznie na karb czeskiego teroru lub czeskich pokus materyalnych — lecz nie bada się smutnego bez wątpienia objawu tego głębiej, mianowicie w tym kierunku, dlaczego ta kresowa ludność polska tak potulnie ulega czeskiemu terorowi, dlaczego tak mało odporności i hartu okazuje wobec czeskich przynęt i pokus? A przecie to jest główne jądro całej tej bolesnej kwestyi, i dopiero po należytem poznaniu tego jądra można dalsze snuć wnioski, a zarazem obmyśleć środki zaradcze.

Dla autora tych uwag, który cztery dziesiątki lat przeżył w zaborze, gdzie lud polski na każdym kroku i w najrozmaitszej formie musi staczać zaciętą, rozpaczliwą nieraz walkę już nietylko o swoje prawa narodowe, lecz o cały byt swój narodowy, ta rzekoma tak niezmiernie mała odporność polskiej ludności na czesko-polskich kresach wobec zaborczych zakusów czeskich jest pod niejednym względem niezrozumiała. Przecie w zaborze pruskim, na Śląsku, a przedewszystkiem wśród naszego ludowego wychodźtwa na zachodzie Niemiec, zupełnie coś innego się dzieje, coś innego się objawia. Nikt zapewne nie zechce twierdzić, iżby prusactwo mniej było zachłanne i łakome na dusze polskie, niż Czesi na kresach Śląska Cieszyńskiego, iżby tamtejsi germanizatorzy mniejszego dopuszczali się teroru lub mniej ponętne podsuwali ludowi polskiemu pokusy w zamian za odstępstwo narodowe, a chociażby tylko za sojusz polityczny. Przeciwnie, faktem jest, że teror pruski groźniejszą ma jeszcze postać od teroru czeskiego na Śląsku, bo wykonują go tam nietylko prywatne jednostki, lecz także wszelkie władze państwowe, ponieważ nadto do jego środków ucisku należy cały szereg ustaw, umyślnie ukutych ku zgnębieniu żywiołu polskiego, ku narzuceniu mu obcej narodowości — których Czesi w Cieszyńskiem w każdym razie nie posiadają. Tak np. ludowi polskiemu na tych kresach nikt jeszcze nie może zabraniać radzenia o swoim losie i o swoich sprawach w języku ojczystym na publicznych zgromadzeniach, co ludowi polskiemu w znacznej części zaboru pruskiego, zwłaszcza zaś w głębi Niemiec, poza krótkim i zaledwie

co kilka lat zdarzającym się czasem akcyi wyborczej, bezwzględnie jest wzbronione. A dalej — nikt też chyba twierdzić się nie ośmieli, jakoby prusactwo w zamian za dezercyę ludu polskiego z jego obozu narodowego mniej mogło mu dać korzyści materyalnych, niż dają mu prywatni czescy agitatorzy w zagłębiu śląskiem i morawskiem. I tu rzecz ma się tak samo przeciwnie. Na Śląsku żaden jeszcze Czech nie może zabronić Polakowi nabycia ziemi na własność, nie może mu zabronić wybudowania chaty na uczciwie nabytej piędzi ziemi — co ma w swej mocy każdy komisarz i landrat pruski. A już takie tylko zezwolenie, takie usunięcie zakazu w zamian za odstępstwo narodowe przewyższa chyba stokrotnie wszelkie materyalne korzyści, jakie czeski inżynier lub sztygar dać może polskiemu robotnikowi. Wszelkiemi wogóle przynętami, używanemi w tej walce przez czeskich agitatorów na Śląsku, prusactwo czy to urzędowe, czy prywatne rozporządza w stokroć większej mierze i z radością też rzuciłoby je na szale, gdyby niemi wydrzeć nam mogło setki lub tysiące dusz polskich. I szafuje ono też i dziś niemi bardzo hojnie, lecz szafuje d a r e m n i e, napróżno, bez skutku, podczas gdy czescy zaborcy w Cieszyńskiem — według relacyi tamtejszych pism polskich — tak korzystne dla siebie tym sposobem walki odnoszą sukcesy.

Sytuacya polskiego ludu robotniczego w Westfalii i Nadrenii, nie mówiąc już o innych stronach Niemiec, jest chyba i pod wielu innymi względami daleko trudniejsza i niebezpieczniejsza dla jego narodowości, niż sytuacya robotników polskich na kresach cieszyńskich. Ci znajdują się przecie jeszcze na swojej ziemi, mają oparcie o tak bliskie środowisko polskie, jakiem jest, a przynajmniej p o w i n i e n już być Cieszyn, mają oparcie o bądźcobądź dość liczny już tam zastęp polskiej inteligencyi, podczas gdy polscy robotnicy na zachodzie Niemiec żyją na o b c e j ziemi, wśród obcego i wrogiego im społeczeństwa, które niby morze otacza niewielkie wyspy polskiego wychodźtwa, nadto zaś setką mil oddzieleni są od ojczystego kraju i żadnej wśród siebie nie mając inteligencyi polskiej, skazani są wyłącznie na własne siły, zupełną samopomoc. A dalej: robotnik polski na kresach śląskich m o ż e sobie wywalczyć lub własnemi siłami stworzyć polską szkołę — co u polskiego wychodźstwa w Niemczech jest ustawami absolutnie uniemożliwione i wykluczone. Jeśli więc gdzie, to tam właśnie, w tych czysto niemieckich stronach, gdzie wszel-

kie stosunki i okoliczności w każdej dziedzinie pracy i życia składają się na potężny wprost nacisk narodowo eksterminacyjny, masowa dezercya polskiego robotnika z polskiego do niemieckiego obozu byłaby poniekąd objawem... bynajmniej nie niezrozumiałym.

A przecie dezercyi takiej tam niema! Że pewien procent tych polskich robotników ulega wynarodowieniu, niestety jest faktem, lecz procent to stosunkowo tak drobny, iż ogólnej sprawie narodowej polskiej dotkliwszego uszczerbku nie wyrządza — a w dodatku jeszcze maleje znacznie pod względem moralnego swego znaczenia wobec potężnego wprost wzmagania się poczucia patryotycznego u olbrzymiej reszty tych robotników właśnie tam na obczyźnie. Z tej wielkiej armii robotniczej tracimy może 5 procent — podczas gdy 95 procent tam dopiero naprawdę staje się obrońcami swej narodowości i prawdziwymi obywatelami swego społeczeństwa. Ci polscy wychodźcy ani pod naciskiem teroru, ani za materyalne korzyści, któremi się ich nęci, nie odstępują od sztandaru narodowego, nawet nie udają renegatów — lecz mimo wielkiej swej zależności od niemieckich pracodawców, niemieckich inżynierów i sztygarów, na własną rękę walczą o każde prawo swoje, nigdy i nigdzie nie głosują z Niemcami, lecz w każdej dziedzinie wysuwają swoich polskich kandydatów, czy to na posłów do ciał prawodawczych, czy na rajców gminnych, czy na członków zarządów parafialnych, czy wreszcie na starszych „knapszaftowych“ mężów zaufania, mężów bezpieczeństwa i jak się wogóle jeszcze nazywają te czynniki robotniczej autonomii lub robotniczego współdziałania w rozmaitych instytucyach. Nawet w kwestyach zarobkowych, w dziedzinie koalicyi zawodowej tworzą oni własne swoje organizacye, jednem słowem stanowią we wszystkiem żywioł narodowo odrębny, śmiały, pewny siebie, a niezmiernie odporny na wszelki teror, ucisk i na wszelkie pokusy niemieckie. Germanizatorzy tamtejsi nie mogą się poszczycić, że potrafią nam wydrzeć setki i tysiące dusz polskich, czem chwalić (a bynajmniej nie szczycić!) mogą się rzekomo czechizatorzy na kresach Śląska cieszyńskiego...

Skąd pochodzi, z czego powstaje ta różnica między odpornością tamtejszych robotniczych rzesz polskich a rzeszy tej w Cieszyńskiem? Nie będę tu stawiał tez żadnych, lecz wyrażę tylko przypuszczenie. Widocznie polski lud robotniczy na tych kresach nie posiada tej świadomości narodowej, tego poczucia

narodowego, jakie na obczyznę wynosi już w sobie i z sobą polski robotnik z zaboru pruskiego i „pruskiego“ Śląska, mimo, że tam już jako dziecko truje go pruska szkoła. Widocznie takiej świadomości narodowej nie ma ani polski robotnik śląski, ani pracujący tam robotnik z Galicyi, mimo iż ostatni, przynajmniej z młodszego pokolenia, wynieść był powinien tę świadomość z polskiej szkoły w swej dzielnicy. Widocznie nad rozbudzeniem tej świadomości na kresach nie pracuje się wcale lub pracuje niedostatecznie, według złej metody, zbyt może frazesowo, a za mało realnie, mozolnie, wytrwale, cicho, spokojnie a systematycznie, jak się to dzieje w zaborze pruskim. Bo frazes, chociażby najdźwięczniejszy, krzyk i wrzask patryotyczny, świadomości takiej w duszę ludu nie wpoi.

Jako długoletni pracownik narodowy i polityczny wśród polskiego ludu zaboru pruskiego, tem tylko tę różnicę tłumaczyć sobie mogę. Jeżeli się mylę, pozostanie ona dla mnie niezrozumiałą — i chętnie przyjmę odpowiednie... pouczenie.

Czechizacyę tamtejszych polskich robotników, to wydzieranie dusz polskich terorem, podstępem lub pokusami, potępiam tak samo, jak to czyni cały ogół polski, jak to potępić musi każdy człowiek uczciwy i uczciwością się kierujący także we współzawodnictwie narodów i w polityce; lecz mniemam, że czechizatorzy samiby zaprzestali tych zaborczych zakusów, gdyby tamtejszy lud polski był nie potulnem jagnięciem, lecz kolczastym jeżem i od czasu do czasu ręce tym zaborcom pokaleczył kolcami swymi. Wydzierają go nam oni, bo w swej nieświadomości narodowej łatwą jest dla nich zdobyczą, bo sam idzie w ich sieci. Gdyby nie to, odskoczyliby od niego tak samo, jak odskoczyli od polskiego jeża germanizatorzy prywatni w Niemczech — i spór polsko-czeski na tych kresach skończyłby się od razu, a co najmniej na inne wszedłby tory, mniej niebezpieczne dla stron obu — wobec wspólnego wroga.

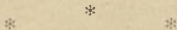
* * *

Ci zachłanni pobratymcy nasi wolą tam mnożyć swój „narodowy stan posiadania“ tanim kosztem i bez większego wysiłku, niż ratować znaczny odłam swego narodu, skazany wprost na zagładę. Mają go tuż pod bokiem, o miedzę tylko, a absolutnie się o niego nie troszczą, pozostawiając go własnym smu-

tnym losom. Wprawdzie zaopiekowanie się nim nie dałoby im na razie żadnych materyalnych ani politycznych korzyści; przeciwnie, wymagałoby materyalnych, a może i innych jeszcze ofiar, lecz to ich bynajmniej nie uniewinnia, nawet nie tłumaczy. Bo zaniedbanie narodowego obowiązku niczem ani uniewinnić ani wytłumaczyć się nie da.

Mam tu na myśli blisko stotysięczny odłam narodu czeskiego na „pruskim Śląsku", na pograniczu Moraw, w pruskich powiatach raciborskim i głubczyckim.

Siedziby tych Czechów po stronie pruskiej należą nawet jeszcze pod względem kościelnym do dyecezyi ołomunieckiej, pod względem narodowym atoli oderwane są od Czech i Moraw zupełnie i to nietylko terytoryalnie, lecz także duchowo. Zdumiewające to zaprawdę, że naród czeski, który tak potężnie odrodzić się umiał pod względem narodowym w Austryi, który umiał popierać odrodzenie narodowe maleńkiej resztki Serbów-Łużyczan, który zaborcze zagony zapuszcza dziś na ziemię polską, tych braci swoich rodzonych w granicach państwa pruskiego wydał zupełnie na łup germanizacyi...



Ci Czesi na Śląsku pruskim, czyli jak ich tam nazywają: „Morawianie", zamieszkują pas graniczny na zachód od Bogumina, a raczej od Huczyna i Beneszowa aż poza miasteczka Baborów, Kietrz ku Branicom, Niemieckiej Cerekwi i Osłobodze. Według urzędowej statystyki pruskiej ma ich być przeszło 70.000, lecz w rzeczywistości jest ich znacznie więcej, ponieważ przy spisie ludności tysiące wśród nich, mimo że w rodzinie mówią jeszcze po czesku — sami podają się za Niemców, co zwłaszcza zamożniejsi z nich czynią, wstydząc się wprost swej czeskiej narodowości. Na północ odgraniczają ich od siedzib ludności polskiej rzeczki Cyna i Troja, stanowiące zarazem granicę dyecezyi ołomunieckiej w powiecie raciborskim. A odgraniczają ich i dziś jeszcze, jak przed ośmiu wiekami, tak ściśle, że np. wielka wieś Pietrowice w tym powiecie położona, a rzeczką Cyną na dwie części podzielona, po jednej jej stronie jest polską, po drugiej „morawską". Mieszkając na żyznej ziemi, czeska ta ludność cieszy się, na ogół biorąc, dość znaczną zamożnością, która atoli nie zdołała wznieść jej na wyższy stopień kultury duchowej i moralności. W statystyce spraw kryminalnych okręgowego sądu kra-

jowego w Raciborzu figuruje ona z najznaczniejszym udziałem procentowym, mimo że słynie z bigoteryi religijnej. Lecz powtarza się tu to samo, co dzieje się wszędzie w podobnych stosunkach i warunkach. Lud pozbawiony wszelkich ideałów narodowych, nie posiadający narodowego duchowieństwa, które umiałoby mu w ojczystej jego mowie należycie przemówić do serca i duszy, zatraca wszelkie ideały także w sprawach codziennego życia, staje się zimnym, goniącym tylko za materyalnym zyskiem, nie przebierającym w środkach, gdy chodzi o osiągnięcie takiego zysku.

Rzecz znamienna przytem, że mimo bezpośredniego sąsiadowania z ludem polskim, ten odłam Czechów mało się z nim miesza, mało wchodzi w rodzinne z nim stosunki, wobec polskości okazuje on większą odporność, niż wobec niemczyzny, co — zwłaszcza w ostatnich dwudziestu latach — w niemałej mierze złożyć należy na karb separatystycznych zabiegów niemieckiego kleru w „morawskich" parafiach, uprawiającego tu w interesie niemczyzny ściśle zasadę: „divide et impera".

W niemałej też mierze ta działalność kleru w parafiach „morawskich" sprawiła, że narodowe odrodzenie polskiego ludu śląskiego na tamtejszą ludność czeską żadnego niemal nie wywarło wpływu. I wskutek tego też przeważnie słowiański powiat raciborski, którego ludność słowiańska dochodzi do 80 procent ogólnej liczby mieszkańców, wybiera po dziś dzień niemieckich posłów [1]) mimo, że właśnie w Raciborzu rozpoczął się na dobre polski ruch narodowy znacznie rychlej, niż w innych stronach Śląska, bo już w roku 1889, i mimo, że wskutek tego polska ludność tego powiatu jest narodowo najbardziej uświadomiona i najdojrzalsza politycznie. Lecz stanowi ona jedynie mniej niż połowę słowiańskiej ludności powiatu, której większość tworzą „Morawianie", do dziś dnia narodowo zupełnie nieuświadomieni,

---

[1]) Przy ostatnich wyborach do sejmu pruskiego wybrano tu wprawdzie posłem Polaka, gospodarza p. Raczka, który wstąpił do Koła Polskiego, lecz stało się to wyłącznie na mocy kompromisu ze stronnictwem Centrum w zamian za głosy polskie oddane na centrowych kandydatów w innych okręgach. Kompromis ten, czysto doraźny, nie zmienia w niczem określonej powyżej sytuacyi. „Morawianie" w tym wypadku głosowali na p. Raczka nie jako Słowianie na Polaka, lecz jedynie jako centrowcy na wskazanego im przez tę partyę posła. *(Przyp. autora).*

trzymani przez kler niemiecki w obozie niemieckim i stale na niemieckich tylko głosujący kandydatów poselskich.

Po stronie polskiej nie brakowało tu zabiegów, mających na celu unarodowienie tych zapomnianych przez własnych braci Czechów, a przynajmniej zwrócenie na nich uwagi społeczeństwa czeskiego, przedewszystkiem właśnie tych kół na pobliskiem pograniczu morawskiem, które dziś z taką furyą trudnią się grabieżą dusz polskich. Po raz pierwszy zwrócono się z tem do Czechów w roku 1893, przy sposobności odbywających się w owym roku wyborów do parlamentu niemieckiego. Po raz pierwszy bowiem zarysował się wówczas otwarty już rozdźwięk między ruchem polskim, przybierającym coraz wyraźniej i śmielej charakter narodowy, a partyą centrową, usiłującą utrzymać polski lud śląski w dalszej od siebie zależności i nie przyznającą mu praw odrębnej samodzielnej narodowości. Właśnie w Raciborzu — gdy partya centrowa odrzuciła wyniośle wszelkie w tym kierunku przez tamtejszych reprezentantów ludu polskiego stawiane postulaty, utworzył się pierwszy na Górnym Śląsku czysto polski komitet wyborczy, który już na własną rękę rozpoczął akcyę wyborczą i zamianował polskim kandydatem emerytowanego nauczyciela, dziś już śp. Filipa Robotę z Prudnika.

Akcyę tę poprzedziła kilkoletnia systematyczna praca nad ludem polskim w tym powiecie i wogóle w tej części Górnego Śląska. Rozpoczął ją już w r. 1888 mieszkający w Raciborzu lekarz, Dr. Józef Rostek, rodowity Górnoślązak, a dzielny patryota polski, były prezes polsko-górnośląskiego Towarzystwa akademików we Wrocławiu, rozwiązanego przez ministra Gosslera w roku 1886. Założone przez niego, a przez autora niniejszych uwag redagowane, później własnym nakładem wydawane *Nowiny Raciborskie*, miały już tendencyę czysto narodowo-polską, podczas gdy bytomski *Katolik* stał wówczas jeszcze na stanowisku polsko-centrowem i oficyalnie znał tylko na Śląsku „katolicki lud śląski polskiego języka". Otóż pismo to doszło w kilku latach do pokaźnej liczby trzech tysięcy abonentów, mimo że zwalczane było przez kler niemiecki z kazalnicy, a nawet za pomocą konfesyonału. Rozchodziło się naturalnie wyłącznie wśród ludu polskiego, lecz w liczbie kilkudziesięciu egzemplarzy docierało także do wsi „morawskich".

Wśród Morawian powiatu raciborskiego znalazły się bowiem jednostki, które instynktownie niejako doszedłszy do świadomości

narodowej, pragnęły się w niej umocnić, a nadto krzewić ją także wśród swego otoczenia, wśród współziomków. Tuż obok, w Opawie, którego czeskie przedmieście „Katarzynki“ (Kateřinki) sięga granicy pruskiej, wychodził już wówczas tygodnik czeski *Opavský Tydennik*, redagowany przez Rudolfa Hilla. Pismo to atoli tak mało zajmowało się sprawami tych braci na pruskiej stronie i wogóle „pruskiemi stosunkami“, że tym unarodowionym jednostkom wśród raciborskich Morawian nie wystarczało, nie dogadzało. Sięgali oni zatem po polskie *Nowiny Raciborskie*, jakkolwiek literacki jezyk polski był dla nich z początku niezrozumiały. Powoli jednakże przyswajali go sobie przez pilne czytanie gazety i w miarę tego stawali się pełnymi narodowego zapału Słowianami-Czechami, lecz bynajmniej nie Polakami. Bo tego też nikt od nich nie wymagał.

Liczba takich nawróconych była jednakże, jak już zaznaczyłem, wśród Morawian tamtejszych bardzo szczupłą, obejmowała zaledwie kilkudziesięciu rozrzuconych po wielu wsiach, na ogólną liczbę kilkudziesięciu tysięcy morawskiej ludności powiatu. Ogół morawski nietylko że nie poszedł za ich przykładem i wskazywaną mu przez nich drogę, lecz podjudzany przez kler, wprawdzie z łona tego ludu pochodzący, lecz wynarodowiony — nawet wrogie względem narodowego ruchu polskiego zajął stanowisko. Pokazało się to właśnie podczas tych wyborów do parlamentu niemieckiego w r. 1893.

Wspomniany poprzednio polski komitet wyborczy w Raciborzu, na którego czele stał Dr. Rostek, a którego sekretarzem był autor niniejszych uwag, postanowił w każdym razie rozciągnąć agitacyę wyborczą także na Morawian. Było to zresztą prostą koniecznością, jeżeli wybory miały się skończyć zwycięstwem polskiem. Powołał on więc do swego grona także kilkunastu najwybitniejszych z pośród owych unarodowionych Morawian, uznał język czeski za równorzędny z polskim i tym językiem pragnął przemówić do słowiańskiej duszy tego ludu. W tym celu wydano do nich osobną odezwę, której przetłumaczenie na język czeski z uwzględnieniem właśnie pogranicznej gwary morawskiej powierzono znanemu wówczas agitatorowi czeskiemu na Śląsku austryackim, księdzu Janowi Hrudzie w Mokrych Łazach. Odezwa ta, rozwożona przez osobnych emisaryuszów, rozeszła się po wsiach morawskich raciborskiego powiatu w 20.000 egzemplarzy. Nadto miał się odbyć w tych wsiach szereg zgro-

madzeń przedwyborczych. Zamiar ten napotkał jednak na przeszkody wskutek kontragitacyi zniemczonego kleru. Nigdzie prawie nie można było otrzymać lokalu dla takich zgromadzeń, tam zaś, gdzie się to powiodło i gdzie odbyły się zebrania, np. we wsi Krzenowicach, część Morawian tak wrogie względem mówców polskich zajęła stanowisko, że ci tylko dzięki opiece garstki uświadomionych zdołali bez szwanku opuścić te słowianskie siedziby. Ówczesny proboszcz w Krzenowicach sam zachęcał swoich morawskich parafian, ażeby polskich intruzów w Raciborzu powitali kamieniami, czego o mały włos nie wykonano dosłownie.

Mimo to w kołach polskich łudzono się jeszcze, że odezwy, wydane do tych pobratymców jednak szerszy odniosą skutek, tem bardziej, że ówczesna sytuacya polityczna bardzo sprzyjała takiej agitacyi. Ówczesne wybory nastąpiły po rozwiązaniu parlamentu niemieckiego za to, że nie chciał uchwalić nowych ogromnych wydatków na wojsko, a więc nowych ciężarów podatkowych. Na tem opozycyjnem stanowisku stał także ruch polski na Śląsku, podczas gdy śląskie Centrum oświadczyło się za nowymi podatkami. Ponieważ zaś właśnie u zmateryalizowanego ludu morawskiego niechęć do nowych ciężarów podatkowych była znaczna, można się było łudzić, że gdy mu to należycie wyłuszczono w owych odezwach, chociaż z tej racyi stanie on po stronie... podatkowej opozycyi polskiej. Lecz i ta nadzieja zawiodła.

* * *

Walka wyborcza — pierwsza, w której w tej prastarej dzielnicy polskiej po pięciu wiekach znów rozbrzmiewały hasła narodowe — była jednak bardzo zacięta. W powiecie raciborskim oddawano w owych czasach przy wyborach do parlamentu niemieckiego (z głosowaniem czteroprzymiotnikowem) ogółem około 17.000 głosów. Przed powstaniem ruchu polskiego walczyły tam o mandat dwa stronnictwa, centrum i wolnokonserwatyści rządowcy; socyaliści wówczas jeszcze podrzędną tylko w tej walce odgrywali rolę. Z tych 17.000 głosów otrzymał był kilka lat przedtem kandydat centrowy 9.000, kandydat rządowy 7.000 głosów, a resztę socyalista i postępowiec. Żywa jednak agitacya polskiego komitetu wyborczego w tym powiecie wywołała po stronie niemieckiej, tak rządowej, jak i centrowej, obawę, iż wybór Niemca może być zagrożony. Ponieważ zaś w tym wypadku ślą-

skie centrum stało po stronie nowych rządowych projektów wojskowych, nic nie stało mu na przeszkodzie do zawarcia kompromisu z rządowcami. I kompromis ten przyszedł do skutku, przyczem centrum zdobyło się jeszcze na ten machiawelski manewr, że kandydatem kompromisowym mianowało najpopularniejszego wówczas w powiecie księdza katolickiego (X. Franka), który pochodził z powiatu, miał tu rozgałęzione stosunki osobiste, a któremu germanizacyjnych tendencyi bezpośrednio zarzucić nie było można.

W takich warunkach i stosunkach szanse strony polskiej były bardzo słabe; — wszystko zależało od stanowiska, jakie zajmie morawska ludność powiatu. A ludność ta zawiodła! Walka wyborcza taki wydała rezultat: kandydat polski, Filip Robota otrzymał głosów blisko 6.000, kandydat kompromisowy niemiecki ks. Frank 9.500 głosów, a 1.000 socyalista. Ludność polska głosowała zwartą ławą na swego kandydata, dając przez to wymowne świadectwo swemu poczuciu narodowemu. Ona też dostarczyła mu sama 5.400 głosów, we wsiach morawskich oddano na polskiego kandydata zaledwie 500 głosów; na rządowo-centrowo niemieckiego zaś przeszło 6000! Indyferentyzm narodowy tego odłamu czeskiego zgotował przegraną nietylko sprawie polskiej, lecz i sprawie słowiańskiej przy tych wyborach — on i dziś uniemożliwia tam, jak to już zaznaczyłem, wybór słowiańskich posłów, o ile nie mają marki kompromisu z Niemcami!

Rzecz ciekawa i wielce znamienna, że Czesi w Opawie i wogóle na Śląsku austryackim tej walce między żywiołem niemieckim a słowiańskim, mimo że rozgrywała się w najbliższem ich sąsiedztwie, mimo że przecie przez braci swoich tamtejszych bezpośrednio byli w niej zainteresowani, przypatrywali się z lodowatą obojętnością. Nikt się z tej strony nie zapytał, czy potrzeba jakiego współdziałania, jakiej pomocy, chociażby tylko moralnej; za druk owych odezw dobrze sobie nawet zapłacić kazano. Po wyborach zaś nie padło z tej strony ani jedno słowo ubolewania, że to właśnie Czesi uniemożliwili tam słowiańskie zwycięstwo. I jak przedtem, tak i nadal o ten odłam narodu czeskiego wcale się nie troszczono.

Z obojętności tej skorzystało niemieckie duchowieństwo „Morawian“ raciborskich. Ulękło się ono nawet owych 500 głosów, oddanych przez wyborców morawskich na kandydata pol-

skiego i postanowiło zawczasu przeszkodzić dalszemu przenikaniu „polskiej zarazy“ do niemczących się siedzib morawskich. I podczas gdy wydawca *Nowin Raciborskich*, autor niniejszych uwag, daremnie pukał do wszystkich wybitnych Czechów, nawet do śp. Franciszka Riegra, daremnie zwracał uwagę na to dobrowolne zaprzepaszczanie stu tysięcy Słowian, daremnie nawoływał do ich ratowania — duchowni germanizatorzy w Raciborskiem w lot zebrali odpowiedni fundusz, przy pomocy którego zaczęli przeciwko polskim *Nowinom Raciborskim* wydawać czeskie *Noviny Katolické* w gwarze ludowej morawskiej, strasznie już w tej okolicy zepsutej naleciałościami niemieckiemi — a w duchu prusko-niemieckim. Organ ten, redagowany przez renegata ks. Stankego, ziejący nienawiścią do polskiego ruchu narodowego na Śląsku, bardziej jeszcze pogłębił przedział między Polakami a Czechami w tym okręgu. Ze strony polskiej zaniechano też dalszych prób odzyskania dla Słowiańszczyzny tych pobratymców, opuszczonych przez najbliższych swoich braci i pogodzono się z myślą, że pozostaną oni i nadal kulą u nogi w walce politycznej o ten okręg wyborczy. Odtąd przy wyborach do parlamentu stawia się tam ze strony polskiej kandydatów tylko dla zasady, tak zw. „Zaehlkandidaten“ — dla policzenia polskich głosów — lecz bez wszelkich widoków zwycięstwa.

Nic też już teraz nie przeszkadza dalszej ich germanizacyi. Postępuje ona szybko i coraz bardziej zmniejsza zastęp wśród słowiańskiego tego ludu tych, którzy jeszcze używają języka czeskiego choćby tylko w domu, w rodzinie. I jeśli nikt się nim nie zajmie, w kilku dziesiątkach lat zamienią się oni na Niemców i na kresach naszych przybędzie jeszcze jedno cmentarzysko słowiańskie.

* * *

Zwracam się więc do braci Czechów w Cieszyńskiem i na pograniczu morawskiem ze skromnem zapytaniem, czy nie byłoby to dla Słowiańszczyzny pożyteczniejszem, dla narodu czeskiego godniejszem zadaniem — gdyby wysiłki materyalne, zużywane na grabież polskich dusz w zagłębiu czesko-morawskiem, skierowano ku ratowaniu tych zapomnianych i opuszczonych Czechów na Śląsku „pruskim“? Czy nie byłoby to zadaniem — co najmniej — bardziej etycznem, niż ta z taką bezwzględnością uprawiana czechizacya narodowo nieuświadomionych biednych

polskich robotników? Sprawa słowiańska zyskałaby na tem podwójnie. Nasamprzód ustałaby w Cieszyńskiem ta bolesna, nad wyraz przykra walka czesko-polska i obie strony zgodnie mogłyby z większą energią i skutecznością zwrócić się przeciwko gnębiącemu je porówno żywiołowi niemieckiemu, i nareszcie i w tej dzielnicy wywalczyć należącą się żywiołowi słowiańskiemu przewagę, powtóre ocalonoby przez to od zagłady stutysięczny odłam narodu czeskiego, ocalonoby jeden z nielicznych już narodowo terytoryalnych mostów, łączących bezpośrednio Polskę z Czechami. Bo gdy most ten runie, gdy tworzący go odłam narodu czeskiego ulegnie germanizacyi, długa wzdłuż Karkonoszów i Sudetów wiodąca linia osad niemieckich, przegradzająca narody czeski i polski, wydłuży się jeszcze bardziej i zredukuje terytoryalną linię styczną jedynie do wąskiego pasa między Cieszyńskiem a Morawami. Wiadoma zaś rzecz, jak ważną rolę w życiu narodów pobratymczych, walczących o prawo do życia, o wspólne niemal cele, odgrywa także bezpośrednia terytoryalna styczność.

A potem, jakiby to był tryumf dla narodu czeskiego, gdyby jego reprezentant wszedł jako poseł nawet do... parlamentu niemieckiego, gdyby tam, w stolicy odwiecznego wroga, dał świadectwo żywotności czeskiego żywiołu nawet w granicach państwa Hohenzollernów! A sukces taki byłby najzupełniej możliwym. Polacy na Górnym Śląsku i wogóle w zaborze pruskim nie pragną bynajmniej wchłonąć tego odłamu narodu czeskiego do swego narodowego organizmu, nie życzą sobie wcale, ażeby on przyrodzoną swoją narodowość zamienił na polską, bo walcząc z trudem o własne właściwości i prawa narodowe, szanują je także u pobratymców. Najlepszy na to dowód, że przed 18 laty, zamiast polonizować tych raciborskich Morawian — zwracali się do Czechów, ażeby oni sami ratowali ich przed germanizacyą. Polacy w powiecie raciborskim nie pragną też bynajmniej kosztem tych pobratymców zagarnąć dla siebie owoce odniesionego w danym razie przy ich pomocy zwycięstwa. Przeciwnie, jeśli powiedzie się tamtejszych Morawian rozbudzić narodowo, uświadomić narodowo, uzbroić do walki o swoje narodowe prawa, Polacy tamtejsi chętnie wraz z nimi głosować będą na czeskiego kandydata, jemu dopomogą do zdobycia mandatu, a zadowolą się tą moralną satysfakcyą, że okręg ten w 80 procent słowiański, reprezentowany będzie w parlamencie nie-

mieckim przez Słowianina, przez Czecha, że i tu Niemcy przekonają się wreszcie, iż czasy Gerona i Albrechta Niedźwiedzia minęły już bezpowrotnie.

Etyka narodowa Polaków tem się różni od etyki czeskich agitatorów w Cieszyńskiem, że swego stanu posiadania nie pragną powiększyć przez ucisk i wynaradawianie pobratymców...

* * *

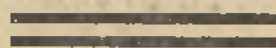
Rzecz jasna, że zadanie ocalenia tych Czechów na Śląsku „pruskim" byłoby znacznie trudniejszem, niż grabież ludu polskiego w Cieszyńskiem. Przewagą materyalną i materyalnemi pokusami nic się tam zdziałać i osięgnąć nie da. Nawet wysyłanie czeskich agitatorów ze strony austryackiej jest zupełnie wykluczone, ponieważ rząd pruski natychmiastby ich wydalił. Lecz innych środków działania bynajmniej nie brakuje. Tamtejsze duchowieństwo otrzymuje święcenia z rąk biskupów ołomunieckich i w ołomunieckiem seminaryum. Zdumiewająca wprost rzecz, że żaden z tych synów „Morawian" po stronie pruskiej nie wyniósł stamtąd nietylko już czeskiego poczucia narodowego, lecz nawet poprawnej znajomości języka czeskiego! Czyżby nie było możliwem chociaż kilku synów tego czeskiego ludu w powiatach raciborskim i głubczyckim wychować w Czechach na Czechów, na narodowców czeskich i uzbroić ich duchowo do narodowej pracy wśród swoich rodaków po stronie pruskiej? Czyż nie byłoby możliwem stworzyć tam czeskiego pisma, któreby szerzyło świadomość narodową? Potrzebaby do tego jedynie dobrej woli, wytrwałości i pewnych ofiar materyalnych. Lecz naród czeski słynie przecie z wytrwałości i ofiarności na narodowe cele...

Znając dobrze stosunki tamtejsze, mogę pobratymców czeskich zapewnić, że praca taka nie byłaby bezowocną, przeciwnie, że dałaby im ogromnie dużo narodowej i moralnej satysfakcyi. Dziś jeszcze z wdzięcznością wspominam — niestety tak nielicznych — morawskich „towarzyszów broni" z walki wyborczej w r. 1893. Dzielni to byli ludzie, serdeczni, odważni, pełni zapału dla narodowej sprawy. Byliby oni bez wątpienia zdziałali dużo pod względem unarodowienia swoich braci, gdyby Czesi po drugiej stronie sztucznej miedzy granicznej byli im dostarczyli środków do tego. Lecz zdani na własne siły — za słabi byli do spełnienia tego zadania. Czy żyją, czy wymarli — cześć

im i sława, tym na razie ostatnim Mohikanom zaprzepaszczonej ludności słowiańskiej.

Dziś, gdy wszystkie narody wytężają wszelkie siły, ażeby ocalić swoje mniejszości, otaczane obcymi szczepami, dziś gdy Niemcy z taką wytrwałością bronią nawet takich małych wysp niemieckich, jak Gottschee w Krainie — jakże dzielny naród czeski odeprzeć zdoła zarzut, że dobrowolnie oddaje na łup germanizacyi stutysięczny zastęp swoich synów, że zamiast ich ratować przed zagładą, siłą i podstępem wydziera tysiące dusz narodowi polskiemu? Nie na polskie włości kresowe w Cieszyńskiem, lecz na Beneszów, Krzenowice, Baborów i Pietrowice nad Cyną niech idą narodowe czeskie wyprawy. Nie będzie tam bratobójczej walki, lecz wielkie zwycięstwo Słowiańszczyzny!

J. K. Maćkowski.



MILIJ ALEKSIEJEWICZ BAŁAKIREW.
(1837—1910).

Dwa lata właśnie minęły od czasu, gdy w *Świecie Słowiańskim* zaznajomiliśmy czytelników polskich z twórczością zmarłego w r. 1908 największego rosyjskiego kompozytora, Mikołaja Rimskiego-Korsakowa, który wraz z Modestem Mussorgskim, Cezarym Kiujem, Aleksandrem Borodinem i Mil. Bałakirewem tworzył grupę „pięciu nowatorów“, odgrywających wielką rolę w muzyce i kulturze muzycznej w Rosyi. Obecnie ubył z tego szeregu Bałakirew, będący w rzeczywistości spiritus movens i agens ruchu, reprezentowanego przez „pięciu“, z których pozostał przy życiu tylko Cezary Kiuj (Cui), uczeń Moniuszki, kompozytor, literat muzyczny i generałmajor oraz profesor fortyfikacyi. Najwybitniejszym następcą tej szkoły jest Aleksander Glazunow, największy obok Skrjabina współczesny rosyjski kompozytor.

Życie zewnętrzne Bałakirewa nie przedstawia interesujących zdarzeń. Urodził się 2 stycznia 1837 r. w Niżnym Nowgorodzie. Jakkolwiek zdradzał uzdolnienie muzyczne od najwcześniejszych lat (gry na fortepianie uczyła go matka), jednak poświęcił się zawodowi przyrodniczemu, kształcąc się w Kazaniu na wydziale przyrodniczym. Gdy poznał słynnego biografa Mo-

zarta i niefortunnego komentatora dzieł Beethovena — Aleksandra Dymitriewicza Ułybyszewa (1794—1858), porzucił za jego namową studya nad przyrodą i oddał się muzyce, którą uprawiał zrazu jako dyletant i autodydakta; skłonność do „samoistności“ tego rodzaju pozostała u niego na całe życie, podobnie jak u jego wyżej wspomnianych sprzymierzeńców. Zrazu oddawał się Bałakirew wyłącznie grze fortepianowej, a wrażenia, odniesione z tych studyów, pozostały u niego na całe życie, czem tłumaczy się, że największą ilość jego dzieł stanowią utwory fortepianowe. W niemałym stopniu przyczyniło się do wytrwania w tej dziedzinie muzyki powodzenie w roli pianisty. Równocześnie jednak prowadził studya nad partyturami i instrumentacyą przy pomocy orkiestry Ułybyszewa i wcześnie zagłębiał się w badaniu rosyjskich pieśni ludowych. I to nie pozostało bez wpływu na jego twórczość. W r. 1854 przeniósł się do Petersburga, gdzie z końcem następnego roku poznał się z ojcem nowożytnej muzyki rosyjskiej, Glinką, za pośrednictwem Ułybyszewa. Glince odrazu przypadł do gustu młody muzyk, zajmujący się ludowemi melodyami rosyjskiemi; w zapale wyraził się twórca „Rusłana i Ludmiły“, że jego następcą może być tylko Bałakirew [1]. Jako pamiątkę poznania ofiarował Glinka młodemu kompozytorowi temat hiszpański do uwertury, którą później Bałakirew w istocie napisał.

Już wówczas był Bałakirew zajęty kompozycyą. W r. 1856 i 1857 odegrał na „koncertach kompozytorskich“ allegro z oktetu, nokturn, scherzo i fantazyę na tematy z opery Glinki: „Życie za cara“, oraz uwerturę. Utworów tych, z których fantazya (na tematy rosyjskie z towarzystwem orkiestry) nosi datę „1852“, nie wydał Bałakirew. Powodzenie zbliżyło go do grupy młodych muzyków petersburskich, wspomnianych już powyżej i odtąd zaczyna się wspólna praca nad kształceniem poglądów muzycznych. Studyowano partytury Liszta i Berlioza, także Schumana i Glinki, oraz Dargomyżskiego.

Wszyscy ci rosyjscy muzycy byli na pół dyletantami, niektórzy zaś z nich posiadali zajęcia zgoła nic nie mające wspólnego

---

[1]) Por. artykuł Mikołaja Findeisena (Petersburg) p. t. „Les débuts de Balakirev“ w *S. I. M. Revue musicale mensuelle* (Paryż, zeszyt 7, lipcowy 1910). Jest w nim wzmianka o poznaniu Antoniego Konckiego przez Bałakirewa w Kazaniu. Wiadomości o stosunku B. do Glinki opiera autor na pamiętniku siostry Glinki, pani Chlestakowej.

ze sztuką. Z trudnością i wielkim mozołem przyswajali sobie tajemnice techniki kompozytorskiej, nie mając gruntownych podstaw, na których budować mogliby daleko pewniej. Piotr Czajkowski wyraził się w jednym z listów do pani v. Meck [1]), że wszyscy ci kompozytorowie są bardzo utalentowani, lecz zarazem dyletantami. Dodaje: „Bałakirew jest najwybitniejszą osobistością z pośród tego grona... Mimo swych nadzwyczajnych zdolności wyrządził wiele złego; on to był, który zmarnował młode lata Rimskiego-Korsakowa, wmawiając weń, że „nie potrzebuje się wcale uczyć“. Rimskij poznał później swój błąd, wyjawił swe myśli w rozpaczliwym liście do Czajkowskiego i przeprowadził gruntowne studya nad kontrapunktem [2]). Na razie jednak i on i reszta „młodych“ odbywała w dalszym ciągu estetyczne posiedzenia i tworzyła własny, nowy styl.

Wszyscy oni właściwie wywodzili się od Dargomyżskiego którego realizm przejął odrazu Mussorgski, a od niego inni. W imię swych ideałów walczyli także piórem; prym zaś trzymał Cui i Stassow. Zwalczali z zajadłością Händla, Bacha, Haydna, Mozarta i Beethovena i ferowali wyroki śmielsze niż te, które podpisał na niektórych klasyków Wagner. Byli przytem pewni siebie i patrzeli na innych muzyków (nawet najwybitniejszych) z pogardą. „Są zarażeni potworną megalomanią, jak również i dyletanckiem przekonaniem, że przerastają wysoko innych muzyków całego świata. Wyjątek stanowi tylko Rimskij“ — pisze Czajkowski we wspomnianym liście. Nic dziwnego, że solidnie wykształconemu Czajkowskiemu, reprezentującemu wraz z A. Rubinsteinem szkołę moskiewską, wydali się oni wszyscy bardzo antypatycznymi, a zwłaszcza Bałakirew, o którym w innym liście (3 sierpnia 1869) pisze: „Zmuszony jestem przepędzać całe dnie z B., co jest rzeczą nudną. Jest on wprawdzie bardzo dobrym człowiekiem i również bardzo dla mnie życzliwym, ale — nie wiem dlaczego — zaprzyjaźnić się z nim nie mogę. Nie podoba mi się ekskluzywność jego muzycznych poglądów i szorstki ton“.

Jak Bałakirew zapatrywał się na klasyków, tego dowodzi jego list pisany do Czajkowskiego w r. 1869, zawierający krytykę je-

---

[1]) 24 grudnia 1877; por. M. Czajkowskiego: „Das Leben Peter Iljitsch Tschajkowski's“, Moskwa i Lipsk, tom I., str. 426—9.

[2]) Por. mój artykuł o Rimskim-Korsakowie w *Swiecie Słowiańskim* (sierpień 1908 r.).

dnej z najpiękniejszych kompozycyj Czajkowskiego, t. j. fantazyi orkiestrowej (uwertury) p. t. „Romeo i Julia“ (w pierwotnej postaci): „Pański temat jest napisany w stylu kwartetów Haydna, geniusza burżuazyjnej muzyki, która budzi silne pragnienie piwa“.

Zdaniem Bałakirewa powinien każdy twórca posiadać zupełną swobodę i nie krępować się technicznemi doskonałościami twórczości, wyrażać tylko swe idee w sposób własny, daleki od rutyny, lecz zarazem charakterystyczny i wytworny. Rozwijały się więc estetyczne zapatrywania koła „nowatorów“, lecz też i niezbyt szybko rosła możność wypowiedzenia się, które nie mogło być doskonałe i zupełne, jeśli brakło opanowania środków. Jednostronność w poglądach na twórczość wyrobiła inną jednostronność: zgłębiano instrumentacyę i sztukę charakterystyki, przyswajano sobie efektowne harmonie, lecz z formą było zawsze bardzo niepewnie. Braki zaś uważano za cnotę.

Bałakirew popierał indywidualizm, lecz gniótł wszelki opór kategorycznemi formułami swych marzeń o nowej sztuce. Skutki opisuje Czajkowski (l. c.): „Bałakirew jest właściwym wynalazcą nauk tego dziwnego koła, w którem tak wiele sił nierozwiniętych, albo fałszywie rozwiniętych, albo wreszcie wcześnie zmarnowanych połączyło się razem“. Wyjąwszy Rimskiego, wszyscy ci byli zawsze prawie dyletantami. W bezstronności swej cenił jednak Czajkowski ich wytrwałość w przestrzeganiu zasad estetycznych i gdy w r. 1868 zbliżył się do tej grupy, zaznaczał zawsze respekt przed tą ich cnotą, a później nawet ulegał ich wywodom estetycznym (o czem będzie mowa poniżej). Jak jednakże brakło im poważnych i silnych podstaw, tak też i w poglądach estetycznych „nowatorów“ napotykamy na silne kontrasty.

Pod wpływem Chopina, którego grupa ta (a zwłaszcza Bałakirew) uwielbiała, jak niemniej pod wpływem Liszta i Schumana, żądali od tematów wytworności i pięknej płynności, wolnej od banalnych pierwiastków; z drugiej strony jednak pod niemniejszym wpływem Dargomyżskiego i Mussorgskiego lubowali się w realiźmie i charakteryzacyi motywów, wybierając czasem dość drastyczne, a nawet rubaszne motywy z pieśni ludowych. To ich czyniło podobnymi do Czajkowskiego, u którego znajdziemy motywy o włoskiej miękkości obok motywów brutalnych, będących jakby symbolem juchtowych butów i nahajki. Żądali od muzyki wyrazu duszy i jej przejawów, a jednak lubili illustrować

zewnętrzny pozór, gest, ruch, typ. Byli wrażliwi na koloryt — lecz i na strój. Wyższego uduchowienia — o ile tak można powiedzieć — brakło im zawsze. Solidarność i brawura wyrobiły im wzięcie; mimo bardzo słabych stron umieli zaszczepić w muzyce rosyjskiej nowe pierwiastki (Chopin-Liszt-Berlioz) i stali się założycielami „młodorosyjskiej szkoły".

Dla propagandy dzieł swych mistrzów i swych własnych kompozycyi założyli pod protektoratem następcy tronu „Bezpłatną szkołę muzyczną" (w r. 1862), w której wykładano tylko przedmioty teoretyczne i śpiew; celem jej było w rzeczywistości urządzanie koncertów. Bałakirew był jej dyrektorem do ostatnich lat. Gdy „nowatorowie" objęli ster rządów muzycznych w Petersburgu, otworzyły im się najwyższe stanowiska: Bałakirew dyrygował od r. 1867 do 1870 koncertami Ces. Ros. Towarzystwa muzycznego, zaś od r. 1883—95 był dyrektorem nadwornej kapeli śpiewaczej. Później usunął się od publicznej działalności, zwłaszcza gdy nie zdołał z powodzeniem przeprowadzić swych idei, trafiając na liczne przeszkody.

Tymczasem muzyka rosyjska przeszła różne przemiany, ideały kierunku „nowatorów" poszły albo w zapomnienie, albo doznały gruntownych reform i oddaliły się od tego, co Bałakirew uznawał za jedyny kanon sztuki. Pewne powątpiewania miał sam Bałakirew i niejedna cicha tragedya artystyczna wstrząsnęła jego duszą, czego wyrazem jest n. p. list Czajkowskiego do pani v. Meck (1877): „Bałakirew zamilknął, nie zdziaławszy zbyt wiele. Posiada nadzwyczajny talent, który jednak zdusiły różne fatalne okoliczności. Gdy przedtem renomował swój ateizm, teraz stał się nagle dewotem. Wysiaduje po cerkwiach i modli się do najprzeróżniejszych relikwii i — nie robi nic". Być może, iż i on doszedł do tych samych przekonań, co Rimskij, ale ambicya kazała mu wytrwać przy pierwotnych poglądach. Wyrazem tego list, pisany w t. 1882 do Czajkowskiego: „Chorobą nowoczesnej duszy jest, że nie umie być wierną swoim ideałom. Rozbijają się i pozostawiają tylko gorycz. Stąd cierpienia naszych czasów".

Wiele daje do myślenia fakt, który w całej historyi muzyki pozostaje unikatem. Pojmujemy to, że Wagner rozkładał na szeregi lat i dziesiątki lat tworzenie swych dramatów muzycznych; były to jednakże dzieła o treści i formie gigantycznej, przynoszące z sobą niezgłębione skarby nowych myśli i nowych środków, których znaczenie sięga w daleką przyszłość. Nie pojmu-

jemy jednak (zwłaszcza wobec niewielkiej ilości dzieł Bałakirewa, napisanych w przeciągu 60 lat), dlaczego poemat symfoniczny p. t. „Tamara“ zajmuje mu 15, zaś symfonia c-dur 30 lat?! Nie ulega żadnej wątpliwości, że znaczną rolę w tej osobliwej twórczości grała dysharmonia między Bałakirewem jako muzykiem twórczym, a Bałakirewem mocującym się ze środkami, których nie opanował, wskutek czego nadanie kompozycyi wyglądu takiego, jakiego pragnął Bałakirew - estetа i krytyk, zabierało dziesiątki lat — i nie zawsze odpowiedziało jego wymogom. Często bowiem kompozycye swe opublikowane poddawał nowym opracowaniom.

To były skutki pseudoliberalizmu, z którego ocknął się szczęśliwie tylko Rimskij. Charakterystycznym jest list Bałakirewa, pisany do Czajkowskiego: „Jeślibym chciał komponować uwerturę, to poprostu paliłbym się do tego tematu, albo raczej lepiej mówiąc, nosiłbym go w mózgu tak długo, ażby rozwinęło się zeń coś żywego i możliwego w tym rodzaju“ [1]). I tak nosił swe plany Bałakirew przez lat trzydzieści, nie mogąc pojąć, że tylko wiedza i kunszt muzyczny może przyczynić się do szybszego i precyzyjnego zrealizowania twórczych zamiarów lub szkiców. Po największej części znajdował wreszcie to, czego szukał, ale te bóle porodowe trwały tak długo, jak u żadnego twórcy. Owszem, były to dzieła wielkiego talentu, lecz — nic więcej ponadto.

Tylko osobisty wpływ na „nowatorów“ nadał Bałakirewowi wyjątkowe znaczenie w rozwoju muzyki rosyjskiej. Jego ideały, niewątpliwie indywidualne i pod wielu względami dobrze pomyślane, mogły znaleźć swój wyraz tylko w dziełach muzyka pełnej krwi. Był nim Rimskij-Korsakow.

Postać Bałakirewa oddalała się coraz bardziej od ogólnego biegu muzyki rosyjskiej. Ostatni okres kreśli p. Findeisen (l. c.) w następujących słowach: „Et pourtant le grand musicien russe a failli finir ses jours dans la solitude, où il commenca sa carrière musicale. Faut-il le dire: son dernier concert, qui avait été fixé au 18 février 1909 (Balakirev devait y diriger son ouverture Le Roi Lear) ne put avoir lieu; la vente de billets ayant presque

[1]) Wszystkie cytowane w tej pracy listy są zawarte w powyżej wspomnianej biografii Piotra Czajkowskiego, napisanej przez Modesta Czajkowskiego (op. c.): tom I., str. 194 sq., 198, 426 i 428 sq.; tom II. str. 233 sqq.

nulle! N'est-ce pas une preuve de plus de l'ingratitude incorrigible du public?"

Niestety! Przyszli przedstawiciele nowych myśli, silniejsi niż ten, który im pomógł, nawiązując w swej młodości swe tendencye z tem, co Europą muzyczną wstrząsało niemniej, jak polityczną hasła roku 48-go.

Naród nasz powinien dla Bałakirewa zachować wspomnienie sympatyczne. Nie wszystkim może wiadomo, że Bałakirew był inicyatorem myśli postawienia pomnika w Żelazowej Woli, t. j. w miejscu urodzenia Chopina, którego ubóstwiał muzyk rosyjski niemal fanatycznie. Przybył też na odsłonięcie pomnika i wziął udział w muzycznej części uroczystości.

Mimo pewnej obojętności publiczności dla sztuki Bałakirewa, umiano ocenić jego znaczenie dla muzyki rosyjskiej; jedno zaś z pism muzycznych określiło je słowami: „Gdyby nie Bałakirew, nie byłoby nowej rosyjskiej szkoły, gdyby nie on, historya nie zapisałaby faktów odrodzenia życia muzycznego w Rosyi" [1]).

Posiadał zatem Bałakirew wielkie znaczenie w gronie tych muzyków rosyjskich, którzy zbudowali teraźniejszość rosyjskiej muzyki. Posiadał je, mimo że nie dorównał geniuszowi Rimskiego-Korsakowa, ani też talentowi Borodina i Mussorgskiego, a także z techniką kompozytorską miewał trudności nie najmniejsze.

Jeśli badamy zwłaszcza budowę jego kompozycyi, spostrzegamy braki, które nas dziwią tem bardziej, że wiemy, jak bardzo krytycznym umysłem był Bałakirew. Tu nie mogło wystarczyć samo estetyczne wyrobienie smaku. Swe dwie symfonie pisał Bałakirew przez długi szereg lat, mozoląc się z fakturą i nie tworząc mimo to dzieł o znakomitej, trwałej wartości. Miał dar instrumentacyi, wyrobiony na Liszcie i Berliozie; toteż jego dzieła orkiestrowe brzmią doskonale i odznaczają się świeżym kolorytem [2]). Budowa tych dzieł jest tego rodzaju, że interesują

[1]) Cytuję według *Przeglądu muzycznego* (Warszawa 1910. nr. 13). Jedyne to polskie pismo muzyczne umieściło również w roku zeszłym dłuższą, interesującą pracę p. W. T. Dobrzyńskiego p. t. „Z rosyjskiej muzyki", dobrze informującą o „nowatorach", jako kompozytorach operowych.

[2]) Napisał następujące utwory symfoniczne: Dwie symfonie (c-dur i d-moll), trzy uwertury (rosyjska, czeska i hiszpańska), muzykę do „Króla Leara", poemat symfoniczny „Tamara" oraz suitę p. t. „Chopin", złożoną z utworów naszego mistrza, a instrumentowanych przez B.

nas tylko ustępy, a w ustępach pewne części. Nie są to nigdy dzieła od jednego rzutu. Przeważa mozajkowość formy, właściwa wszystkim rosyjskim, wogóle słowiańskim muzykom; tylko największe talenty umieją czasem wznieść się na wyżyny symfonicznej monumentalności. Owe „niedociągnięcie“ przeszkadza nam zawsze przy słuchaniu dzieł Bałakirewa, którego talent był w rzeczywistości stworzony dla form mniejszych.

Tematy Bałakirewa mogą być zawsze miłe, wdzięczne, nawet natchnione, ale nigdy nie poruszają naszej głębi serca, a tem bardziej umysłu. Nie był nigdy stylistą — być może, że nie pragnął nim być — a to właśnie jest dla symfonisty rzeczą niezbędną. Słuchając jego utworów mam zawsze wrażenie, iż rodzaj jego talentu nie pozwolił mu wprowadzić w czyn tego, do czego jego wybitna inteligencya doszła w drodze estetycznych refleksyi.

Nie był również indywidualnym muzykiem: jakżeż oni wszyscy są podobni do siebie! Wszyscy pragnęli być rzeczywiście r o s y j s k i m i kompozytorami, a jednak ustawiczna myśl o charakterystyce muzycznej wytworzyła w nich zdolność do stosowania się do różnych „narodowych“ stylów muzycznych. Przenika ich muzykę pierwiastek rosyjski, polski (źródło: C h o p i n!), południowo-słowiański, oryentalny, romański (B e r l i o z i L i s z t).

Bałakirew wydał wiele utworów f o r t e p i a n o w y c h, napisanych pod niewątpliwym wpływem Liszta i Chopina. Fortepianowa ich faktura jest doskonała, gdyż na obydwóch tych wielkich wzorach oparta. Z większych form wymieniamy sonatę b-m o l l i fantazyę oryentalną p. t. „I s l a m c y“, zajmującą pierwsze między niemi miejsce. Są one utrzymane w stylu wytwornym, ale podwójna rosyjska natura każe je zabarwić czasem szczegółami dość realistycznymi, czasem nieco rubasznymi.

We wszystkich tych dziełach forma jest luźna, jakby improwizacyjna; nie czujemy prawie nigdy organicznej siły i logicznego rozwoju myśli, wzajemnie z siebie wypływających. Zamiast przeprowadzania motywów, znajdziemy transponowanie ustępów w odległe często tonacye, wśród bez wyjątku interesujących modulacyi. Mimo braku szerszych horyzontów myśli i głębszych idei muzycznych, sprawiają te utwory przyjemność, dzięki tylko świeżości inwencyi, czasem prawie naiwnej. Zręczna harmonizacya, wybitny nerw rytmiczny i wyrafinowanie piękne brzmienie. Utworom tym brak wyższej, uduchowionej siły wyrazu; są jednak bez wyjątku

nastrojowe. Bałakirew rzadko jest banalny, głębszych jednak myśli z trudnością doszukać się możemy.

Zważywszy jednak, że rozpowszechnienie niemieckiej tandetyfortepianowej jest u nas w rzeczywistości przerażające, należy polecić dzieła Bałakirewa i wielu rosyjskich i czeskich kompozytorów, jako uzupełnienie repertuaru kompozycyi polskich, których nie potrzebujemy się wstydzić, mając przedewszystkiem talenty tak wybitne, jak Zarembski, Paderewski, Melcer, Stojowski, Szymanowski, Różycki, Szeluta, Friedmann.

„Pieśni“ Bałakirewa nie mogłem niestety zużytkować. Czajkowski pisze o nich: „Pieśni Bałakirewa są w istocie małemi arcydziełami“.

Dr. Adolf Chybiński.

Monachium we wrześniu 1910.

„DRUŠTVO LJUBITELJEV POLJSKEGA NARODA“ W LUBLANIE.

Dnia 3-go listopada ustanowiło się w Lublanie bez szumnych reklam i zapowiedzi „Društvo ljubiteljev poljskega naroda“ — Towarzystwo miłośników narodu polskiego.

W sali hotelu „Union“ zebrało się liczne a dobrane grono najpoważniejszych osób. Stawili się posłowie parlamentarni Dr. Žitnik, Dr. Benkovič, profesor Verstovšek; poseł sejmowy i członek Wydziału krajowego Dr. Ivan Zajec; za Stowarzyszenie imienia Leona XIII (Leonova družba) Dr. Josip Gruden; za stowarzyszenie „Zadružna Zveza“, dyrektor Traven; za towarzystwo „Zadružna šola“ dyrektor Remer. Młodzież akademicka katolicka ze Zagrzebia wysłała na to zgromadzenie dwóch reprezentantów: prezesa stowarzyszenia „Domagoj“ Deželića i Rebaca. Obok nich byli przedstawiciele katolickich akademickich stowarzyszeń słowieńskich „Danica“ i „Zarja“. Stawili się też reprezentanci katolickich słowieńskich organizacyi „Slovenska Krščansko-socialna Zveza“, „Slovenska Straža“ i towarzystwo śpiewackie „Ljubljana“.

W imieniu komitetu urządzającego zagaił zebranie Dr. Juro Adlešič. Powitawszy obecnych zaznaczył, że nowe stowarzyszenie powstaje w zaraniu nowego okresu w rozwoju Austryi, kiedy zbliża się już czas, iż Słowianie staną się w monarchii czynnikiem rozstrzygającym. Drogi „neoslawizmu“ okazały się mętne i niejasne. My chcemy czegoś nie mglistego! Dążymy do związku z bratnim narodem, z którym łączy nas jedność poglądów. Nie chcemy rzucać ziarna na piachy ani na twarde skały, lecz na urodzajną glebę. Było to wprost historyczną koniecznością, żeby

założyć takie stowarzyszenie, zbliżyć mające dwa narody, które do niedawna tak mało się znały. W ostatnim czasie zajęli się Polacy bliżej Słowieńcami. Dużo Polaków przyjeżdża na nasze południe, lecz jeszcze więcej przejeżdża mimo nas w drodze na dalsze południe. Mamy nadzieję, że zjawią się Polacy w większej ilości wśród nas, a my pomiędzy nimi. Zarzuca się Polakom, że usuwają się od kulturalnego życia słowiańskiego. To nie prawda. Kto zrozumie te serca, które tak gorąco biją dla swej Ojczyzny, zrozumie niejedno. Polacy mają sympatyę dla Słowieńców, a w naszym ludzie żyje pamięć wodzów polskich z dawnych czasów, którzy z pod cesarskiego Wiednia odparli najazd turecki i starli wroga, który chciał zniszczyć naszą wiarę i narodowość.

Wyłuszczał następnie mowca obszerniej program nowego stowarzyszenia.

Praktyczna działalność Stowarzyszenia ma obejmować:

1) Naukę języka polskiego. Zorganizuje się systematyczne w tym celu kursy, które bywały już w Związku chrześcijańsko-społecznym (Krščansko-socijalna zveza) i miały powodzenie. Wyda się też gramatykę polską.

2) Urządzanie odczytów z dziejów polskich, z piśmiennictwa, o sztuce, życiu narodowem i politycznem Polaków.

3) Zorganizowanie korespondencyj o sprawach słowieńskich dla użytku prasy polskiej.

4) Urządzanie podróży i wycieczek do Polski i przyjmowanie polskich podróżników po ziemiach słowieńskich. Reklama w Polsce dla słowieńskich latowisk i miejsc kąpielowych.

5) Udzielanie informacyj i pośrednictwo w sprawach ekonomicznych.

6) Zorganizowanie i popieranie studyów młodzieży słowieńskiej w polskich uniwersytetach i wyższych zakładach naukowych.

W końcu zawiadomił Dr. Adlešič zgromadzonych, że prezes stronnictwa Vseslovenske Ljudske Stranke i parlamentarnego Klubu słowieńskiego, Dr. Ivan Šusteršič, nie mogąc przybyć na zebranie, jak pierwotnie zamierzał, nadesłał list, który odczytano. Pisany do ks. Dra Lenarda, brzmi on, jak następuje:

„Wielce Szanowny Panie [1]) Doktorze!

„Spodziewałem się, że będę mógł uczestniczyć osobiście w dzisiejszem zebraniu. Niestety, zatrzymują mię inne sprawy. Proszę tedy przyjąć pisemne oświadczenie, że przystępuję do stowarzyszenia i racz Pan wyrazić odemnie najserdeczniejsze pozdrowienia wszystkim obecnym, a w pierwszym rzędzie miłym gościom!

Od dawna [2]) już było potrzebnem stowarzyszenie, które się dzisiaj zakłada. Brak nam było odpowiedniego organu do utrzymywania i pielęgnowania stosunków duchowych pomiędzy nami, a Polakami. Z Pańskiej inicyatywy, za którą należy się Panu podziękowanie, nabywamy takiego organu, który będzie działał pomyślnie i pożytecznie. Pomiędzy ludem naszym należy rozszerzać i pogłębić znajomość bratniego narodu pol-

[1]) W słowieńskim języku tytułuje się księży przez „Pan", tak samo jak świeckich.
[2]) Podkreślono w oryginale.

skiego, a z tego zaznajomienia się wyniknie podziw dla rycerskich dziejów i ogromnego dobytku kulturalnego naszych północnych braci.

„Tuszę, że nie daleki czas, kiedy nastanie pomiędzy obydwoma narodami ścisły związek solidarności; pomiędzy narodami, które obydwa szukają wszelkiej swej pomyślności pod berłem habsburskiem.

Z głębokiem poważaniem i najserdeczniejszem pozdrowieniem, Pański

Šusteršič.

Następnie odczytał i wyjaśnił ks. dr. Leopold Lenard statut stowarzyszenia, który przyjęto en bloc, poczem odczytano telegramy nadesłane z Polski ze wszystkich zaborów. Z Wielkopolski nadeszły od „Związku narodowego“, „Straży Polskiej“, od młodzieży katolickiej, od redakcyj *Dziennika Poznańskiego* i *Kuryera Poznańskiego.* Z Warszawy od redakcyj *Gazety Warszawskiej*, *Słowa*, *Prądu*, *Roli.* Z Krakowa nadesłali telegramy: „Straż Polska“, „Klub Słowiański“, „Kółko Slawistów“, przy uniwersytecie Jagiellońskim, Wydział „Ogniwa“ związku stowarzyszeń polskiej młodzieży akademickiej, redakcye *Głosu Narodu* i *Świata Słowiańskiego*, nadto szereg osób prywatnych: profesorowie Antoni Mazanowski, Matyasik, Magiera, hr. Mikołaj Potocki, hr. Adam Starzyński, Władysław Chodakowski i inni. Odczytywaniu telegramów towarzyszyły ustawiczne okrzyki: „Živeli Poljaki! Živela Poljska!“.

Przemawiał następnie wysłannik chorwackiej katolickiej młodzieży akademickiej Deželić, prezes „Domagoja“, a po nim zabrał głos Dr. Benkovič, poseł do parlamentu i do sejmu.

Dr. Benkovič zwrócił uwagę, jak wśród Polaków szerzy się znajomość spraw słowieńskich i podniósł z największą słusznością, ile w tem zasługi wybitnego działacza w dziedzinie zbliżenia polsko-słowieńskiego, ks. Dra Leopolda Lenarda. Wyraził następnie nowemu stowarzyszeniu pozdrowienia w imieniu parlamentarnego „Klubu Słowieńskiego“ z życzeniami, żeby nietylko osięgało korzystne wyniki w zbliżaniu kulturalnem dwóch narodów i w nawiązywaniu stosunków osobistych, ale żeby też zbliżyła się chwila, kiedy nastąpi współdziałanie w parlamencie we wspólnem porozumieniu. W tej myśli pozdrawia nowe stowarzyszenie.

Następny mowca, prof. Dr. Debevec w ciepłem przemówieniu snuł osobiste wspomnienia, jak za młodu z gronem przyjaciół uczyli się języka polskiego z miłości do idealizmu nagromadzonego w polskiej literaturze i kulturze. Pozdrawia serdecznie stowarzyszenie, ciesząc się z jego powstania tem bardziej, że obok tego idealnego pierwiastka ma się ono zająć także praktycznemi stronami zbliżenia Polaków i Słowieńców.

Zabrał z kolei głos p. Remec, dyrektor związku stowarzyszeń „Zadružna šola“. Przy wzajemnem zbliżaniu się kulturalnem nie wolno zapominać o momentach ekonomicznych. Mowca pragnie, żeby nowe stowarzyszenie zajęło się studyowaniem stanu ekonomicznego obydwóch narodów. „Niech jeden od drugiego bierze i nawzajem mu daje, co ma sam dobrego i pożytecznego“. Zwraca uwagę na przemysł domowy, na wina słowieńskie, które mogłyby znajdować w Polsce odbiorców. Niechby się szerzyły jak najbardziej stosunki wzajemne handlowe, żeby objęły z czasem wszystkie słowiańskie organizacye ekonomiczne w Austryi.

Po przemówieniu bawiącego w Lublanie p. Stanisława Jasiń-

s k i e g o, prezesa organizacyi „polskiego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego“, przystąpiono do wyboru Wydziału stowarzyszenia.

Wybrani: prezesem ks. Dr. E. L a m p e, wicemarszałek Krainy, a do Wydziału: pani profesorowa M o d i č e v a, panna J a r m i l a G e r b i č e v a, panowie: Dr. J u r e A d l e š i č, Dr. M i r k o B o ž i č, Dr. J. D e b e v e c, I v a n Š t e f e i ks. Dr. L e o p o l d L e n a r d.

Siedziba stowarzyszenia będzie w lokalu „S l o v e n s k e S t r a ž e“, gdzie założy się polską bibliotekę i czytelnię. Każdy Polak, przyjeżdżający do Lublany, znajdzie w biurze stowarzyszenia „Slovenska Straž“ wszelkie wyjaśnienia i przydatne w podróży wskazówki.

Tak powstało drugie już (po praskiem) Towarzystwo „Przyjaciół Polski“. Niegdyś powstawały one w Paryżu i w Londynie (istnieją tam dotychczas), podczas gdy pobratymcy pozostawali obojętnymi na sprawy nasze, pomimo, że emigracya wcale nie była obcą słowianofilstwu, czego dowodem i pamiątką historyczną szereg jej odezw. Materyały do tego jedynego w swoim rodzaju ustępu historyi porozbiorowej, ogłaszane niemal w każdym zeszycie naszego miesięcznika w rubryce „Z p r z e s z ł o ś c i s ł o w i a n o f i l s t w a p o l s k i e g o“, dalekie są jeszcze od wyczerpania, ale wystarczą już na stwierdzenie faktu, że z polskiej strony nie ustał prąd słowianofilski n i g d y, tylko wzajemnego prądu polonofilskiego... nie było. Składało się na to wiele okoliczności, a nie mało wpływało na podobny stan rzeczy i to zapewne, że nasze hasła słowianofilskie nie z kraju wychodziły, lecz z emigracyi. Paryż był poza horyzontem naszych pobratymców, a „emigracya polityczna“ pojęciem dla nich niezrozumiałem. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że mając przez wszystkie trzy rządy zaborcze uniemożliwione pielęgnowanie kultury narodowej w kraju, wytworzyliśmy jej ogniska zagranicą, wśród obcych narodów, a główne w samej stolicy cywilizowanego świata, w Paryżu i że wówczas emigracya reprezentowała naród. Warszawa i Poznań, a zwłaszcza najbliższe pobratymcom a wówczas n a j b a r d z i e j g n ę b i o n e Kraków i Lwów, nie dawały im niczego znać o sobie, i dlatego może nie zajmowali się Polską.

Jeżeli atoli innym pobratymcom moglibyśmy poważne czynić zarzuty o to, że zbyt długo ignorowawszy Polskę, posunęli się na domiar złego jeszcze do najfałszywszego twierdzenia, jakoby Polacy bywali obojętni dla idei słowiańskiej — to dla Słowieńców musimy zrobić wyjątek w imię słuszności. Nieliczni, pozbawieni tradycyi historycznej, stawiający dopiero pierwsze kroki, ażeby z ludu stać się narodem, sami dokonywali dopiero niejako odkrycia samych siebie w Słowiańszczyźnie. Nie można wymagać od nich niczego za owe czasy, kiedy myśl polska rwała się z całym zapałem ku Słowiańszczyźnie, lecz nie dochodził jej stamtąd żaden odzew na rzucone hasła. To natomiast przyznać należy Słowieńcom z wielką dla nich chwałą, że skoro tylko dokonał się w nich proces określenia się narodowego i stosunku ich do świata słowiańskiego, zoryentowali się wcześniej i lepiej od innych. Nie spotkała nas nigdy żadna przykrość z ich strony. A w czasach najnowszych oni stali zawsze najbliżej nas ze wszystkich pobratymców.

Mniej z nami sympatyzujący liberali słowieńscy (nie mówiąc już

o sympatyzujących gorąco katolickich ludowcach) wcześniej od Czechów zerwali z rosyjskim panslawizmem i wogóle z całą ową ideologią, opartą na podziwie dla oficyalnej Rosyi. *Slovenski Narod*, lublański organ liberałów, posunął się przed kilku laty aż do oświadczenia, że hańbą jest uważać pieśń „Bože carja chrani" za hymn słowiański. „Neoslawizm" burmistrza lublańskiego, Hribara, był więc o wiele wyraźniejszy i — że tak powiemy — radykalniejszy, niż Dra Kramařa, który nie mając zamiłowania do wyraźnych konturów, rojąc na tle mglistych obrazów, zabrał się po konferencyi praskiej do zbierania na nowo starych panslawistów, bojąc się, żeby nie byli straceni dla jego neoslawizmu.

Stronnictwo ludowe słowieńskie, katolickie, a obejmujące $^9/_{10}$ tego narodu, zajęło stanowisko jeszcze wyraźniejsze od liberałów. Dr. Šusteršič i jego przyjaciele polityczni nie przystąpili całkiem do neoslawizmu, nie brali nawet udziału w konferencyi praskiej. Uważali działalność Dra Kramařa z góry za nie wiodącą do niczego i nie chcieli mieć z Rosyą nic do czynienia. Oświadczyli, że ze stanowiska słowiańskiego Rosya dla nich nie istnieje, póki się nie pogodzi z Polską. Punkt ciężkości idei słowiańskiej znajdował się w ich pojęciu od początku w Warszawie, względnie w Krakowie. Napisał też niejedno *Slovenec* wyraźniej od samej prasy polskiej, której to i owo wypadało łagodzić ze względów taktycznych. — Nigdy może nie mieliśmy jeszcze przyjaciela tak szczerego i tak nam oddanego, jak ten dziennik lublański, organ vseslovenske ljudske stranke.

Ich słowianofilstwo łączy się z polskim programem. *Slovenec* stawia tę kwestyę ponownie całkiem jasno i otwarcie z powodu założenia „Towarzystwa miłośników narodu polskiego". Jego zdaniem *Swiat Słowiański*, to „jedyne pismo, poświęcone słowianoznawstwu, z jasnym i konsekwentnie wyrobionym programem". Innym razem czytamy:

„Z całą stanowczością musimy odrzucić jakikolwiek związek z organizacyami i osobami, które nie stoją na stanowisku naszego programu słowiańskiego, tj. programu, który jest zawarty w rocznikach krakowskiego czasopisma *Swiat Słowiański*. Ze starem pseudo-słowianofilstwem Chomiakowa, Aksakowa i Katkowa, jako też z neoslawizmem Kramařa, które obecnie zeszło już też na tory starego panslawizmu, nie chcemy mieć nic wspólnego, bo nie chcemy, żeby działalność nasza przepadła bezpłodnie". (Nr. 253).

Nowe stowarzyszenie lublańskie jest dowodem, że nasza działalność nie idzie na marne, lecz wydaje owoce. Wyciągniętą ku nam dłoń ściskamy gorąco, z zapałem. Będziemy pracować wspólnie, zdając sobie sprawę, że czeka nas wiele trudności, ale pełni otuchy, że stopniowo dadzą się one pokonać. Będziemy się trzymali prawidła: festina lente, bo wiemy, że wszystkiego naraz się nie zrobi; ale będziemy się też wystrzegać, żeby w naszej robocie nie było grzechu zaniedbania.

Skoro inicyatywa do czegokolwiek wyjdzie ze strony *Slovenca*, wiadomo z góry, że *Slovenski Narod* będzie takiej rzeczy przeciwny. Oświadczył się więc organ liberałów przeciw nowemu stowarzyszeniu, jako

płodowi „klerykalnemu“, którego celem pozyskać sobie pomoc polskich „klerykałów“.

Nie wiemy, jaki jest stopień wiadomości redaktorów *Slovenskega Naroda* o księżycu, ale o Polsce wiedzą w każdym razie mniej... W Polsce stronnictwa klerykalnego nigdy nie było, niema i nie będzie.

Slovenec na niesmaczne zaczepki liberalnego dziennika odpisał wyraźnie:

„Nasze stowarzyszenie jest niepolitycznem i niewyznaniowem. Nie będzie w służbie żadnego stronnictwa politycznego i nie będzie się zajmowało sprawami religijnemi. Nie wykluczamy nikogo dla przekonań politycznych lub wyznaniowych“.

A zatem patent portae! Stowarzyszenie jest takiem, jakimi jego członkowie. Zobaczymy, ilu się wpisze „liberałów“, jaki będzie ich procentowy w niem udział. Jeżeli będą tam świecić nieobecnością, rzecz prosta, że Polacy nie będą mieli żadnego powodu dzielić swych sympatyj pomiędzy obydwa obozy słowieńskie.

A czyż nie odczuwał nigdy nikt w Lublanie potrzeby jakiegoś neutralnego gruntu, na którym mogliby się stykać przedstawiciele różnych stronnictw? Czyż nowe Društvo nie nadawałoby się wybornie do tego?

Na zakończenie słowo do Szanownego inicyatora tego dzieła, do Ks. Dra Leopolda Lenarda:

Statut „Klubu Słowiańskiego“ w Krakowie niema całkiem kategoryi członków honorowych. Były poważne powody, dla których woleliśmy ścieśnić pod tym względem prawa naszego Klubu. Nie możemy więc wyrazić naszych uczuć w ten sposób, powszechnie praktykowany. Ma to jednak tę dobrą stronę, że uniknie się złudzenia, jakoby się dyplomem na członka honorowego spłaciło zobowiązania. Nie załatwione żadnym aktem formalnym, będą się tem bardziej zawsze dopominały wdzięcznego uznania.



UCZCZENIE PAMIĘCI TOŁSTOJA W KRAKOWIE.

Z inicyatywy Klubu Słowiańskiego odbyło się w niedzielę dnia 27 listopada w pięknych salach Koła artystyczno-literackiego i Klubu prawników, uroczyste uczczenie pamięci Tołstoja, na które przybyła liczna i doborowa publiczność ze wszystkich sfer inteligencyi Krakowa.

Zebranie zagaił uproszony o to przez Wydział Klubu Słowiańskiego, autor „Szkiców syberyjskich“, które niemniej są znane i cenione u Rosyan, niż u nas, p. Adam Szymański. Przemówił następującemi słowy:

„Szanowne Panie i szanowni Panowie!

Zebraliśmy się dziś, aby uczcić pamięć człowieka niezwykle wielkiego, myśliciela niezwykle głębokiego i pisarza niezrównanego, a ilośc i wybór zebranych świadczą, że hołd, który dziś zmarłemu mistrzowi pióra składamy, nie jest zdawkową manifestacyą, ale szczerym wyrazem głębokiego zainteresowania się jego posągową postacią.

Na nieszczęście, przepaść, którą losy dziejowe od lat stu przeszło pomiędzy dwoma największymi ludami słowiańskiemi wyryły, a którą nierozumna teraźniejszość coraz lekkomyślniej i coraz usilniej pogłębia, ta przepaść fatalna sprawiła, że wielki mistrz i myśliciel nie jest w naszem społeczeństwie tak dobrze znanym, jakby w przeciwnym razie, bez wątpienia, znanym być mógł i powinien.

Z tego względu, zanim czcigodny profesor Zdziechowski wygłosi dokładniejszą charakterystykę, jeśli nie całkowitej, to częściowej działalności zmarłego, pozwolę sobie wypowiedzieć kilka ogólniejszych uwag, dążących do wyświetlenia tych stron działalności wielkiego pisarza, poznanie których dla nas, jako Słowian dawno zeuropeizowanych, jest i powinno być najciekawszem.

Przedewszystkiem jednak z obowiązku zagajającego tak dostojne zebranie z radością stwierdzić winienem, że w obszernych artykułach i sprawozdaniach, któremi cała prasa polska wszędzie, gdziekolwiekbądź ona istnieje, pamięć zmarłego uczciła, dostatecznie udowodniliśmy, jak wysoko, mimo bolesnej rzeczywistości, cały inteligentny ogół polski cenił i jak głęboko odczuwał wielką i dobroczynną działalność znakomitego pisarza. W tym głębokim i powszechnym hołdzie przez całą myślącą Polskę pamięci Tołstoja tak jednomyślnic już to złożonym, już obecnie składanym, niesłyszalnemi, niewątpliwie, staną się drobne dyssonanse, które i w najzgodniejszym chórze, bez przygotowań i prób uprzednich złożonym, nigdy uniknąć się nie dadzą.

* * *

Postaramy się teraz o możliwie zwięzłe sformułowanie: Kim był przedewszystkiem Tołstoj, co było istotą, rdzeniem jego działalności, co pozostanie z tej działalności największą i najdrogocenniejszą dla potomstwa spuścizną?

W jednem ze wspomnień o nim, teraz właśnie drnkowanych, nazwano Tołstoja rosyjskim Sokratesem.

I nazwa ta wydaje mi się bardzo trafną. Wymaga jednak znacznych i istotnych dopełnień.

Wtedy bowiem, gdy Sokrates pouczał i kształcił kwiat inteligencyi ateń:kiej, kwiat ówczesnej ludzkości, Tołstoj pokusił się o inne audytoryum' pokusił się o wniesienie światła w te mnogie miliony wielkiego i potężnego ludu, który dotychczas nieprzenikalnością trzymającej go w swej mocy ciemnoty rzucał tak ponury cień na całą ludzkość.

A pokusił się o to w czasach zaiste niesłychanie ciężkich i ponurych.

Po śmierci cesarza Aleksandra II-go powrotna fala reakcyi zalewała wszystko, a groźne słowa: „Niech cisza i milczenie zapanują w Rosyi“ — zdawało się, ziściły się jak najściślej...

. . . .

I oto wśród ciszy grobowej — jak uderzenie dzwonu, bijącngo w noc ciemną na trwogę — odezwał się czysty i dźwięczny głos wielkiego pisarza. Bo pisarz ten, stojąc na szczycie sławy, jako najznakomitszy z żyjących w swojem społeczeństwie, widział, co się dzieje, przejrzał, co się dziać może...

I nie zważając na szyderstwa i urągania, poszedł wśród lud wydziedziczony, pomiędzy opuszczonych i upadłych, w domy publiczne pomiędzy

nierządnice i największych nędzarzy, wyzutych ze wszystkich cech ludzkich, aby przyjrzeć się wielkiej nędzy człowieka...

I milknąć zaczęły szyderstwa i urągania, a wzrastała uwaga powszechna ku wielkiej misyi, którą podjął. I jak lekarz, stojący u wezgłowia ciężko chorego, słyszeć może uderzenia serc, oczekujących z trwogą wyroku jego, tak wśród rosnącego skupienia społeczeństwa, spełniał on misyę swoją i gdy oczekiwanie powszechne doszło do najwyższego natężenia — zabrzmiała z ust wielkiego pisarza donośna i czysta apoteoza cnót ewangelicznych: pracy i miłości.

Proste, dostępne dla pojęć ludu opowieści Tołstoja są nawskróś przesiąknięte jedną myślą: praca jest obowiązkiem wszystkich ludzi, miłość najwyższym ideałem etyki społecznej.

W wielką, ciemną masę prostego ludu Tołstoj pierwszy uderzył całą potęgą swego serca i swych uczuć czystych i uderzył z taką siłą, że gdy rozległ się jego głos rzewnie i gorąco wzywający do pracy i miłości, głosy ludzi, oceniających go zbyt surowo, — zostały zagłuszone.

Wszystko, co czytać umiało, rzuciło się do czytania prac jego.

I mimo usterek prawdy wielkie urokiem swej czystości pociągnęły ku sobie serca ciemnej masy.

Usterki owe nieraz ściągały na autora gromy ze strony braci po piórze, ale lud czytający nie widział ich, zapewne najczęściej nie rozumiał ich wcale. Cóż więc dziwnego, że z tysięcy piersi rwać się poczęły pytania: Co robić, jak żyć należy?

Na pytania podobne Tołstoj dawał zawsze jedną odpowiedź: Pracujcie, uczcie się uczcie i kochajcie...

I właśnie ta chwila, w której Tołstoj siłą swego talentu, czystością swych uczuć zmusił ciemną masę ludu do zastanowienia się nad nędzą swego zmateryalizowanego, bydlęcego istnienia, chwila, w której sprawił, że masa ta kornie pochyliła głowy i przyznała, że żyje nie po ludzku i o radę i naukę zwracać się doń zaczęła — ta chwila była największym tryumfem pisarskiej działalności Tołstego.

I dziś już, jak długą i szeroką jest wielka ziemia rosyjska, niemasz chłopa, niemasz robotnika, który umiejąc czytać — nie czytałby i nie czcił Tołstoja.

Przyjdzie niewątpliwie czas, że idee i myśli wielkiego pisarza i w życie wcielać się zaczną.

Takiego wpływu na etykę swojego ludu nie zapewnił sobie nietylko nikt z pisarzy wielkich i największych w całej Europie, ale i nikt z utopistów i reformatorów, którzy całe swe życie wyłącznie pracy nad ludem poświęcili.

A wiemy przecie ilu tych ludzi było i jak nad tą doniosłą sprawą biadali oni i biadają!

* * *

Najpotężniejsze umysły najbardziej ucywilizowanych ludów świata, przodujące umysły Anglii i Ameryki wobec przepaści, wciąż rozdzielającej szczyty inteligencyi od ciemnych, deprawujących się powierzchowną kulturą mas ludowych, z przerażeniem zapytują: Co nas czeka, co z naszą cywilizacyą będzie, co z niej zostanie?...

Jeżeli taki człowiek jak Spencer — umysł niesłychanie ścisły, logiczny i przenikliwy, tak gorąco w potęgę umysłu ludzkiego wierzący — nie zawahał się pod koniec swej działalności rzucić cywilizowanemu światu ponurej przepowiedni o „przyszłej niewoli Europy“, to któż ośmieli się zaprzeczyć, że uwieńczone powodzeniem usiłowania Tołstoja wejścia w najniższe warstwy jednego z największych z pośród ludów Europy są zasługą, wobec której bledną i znikają wszystkie błędy i omyłki wielkiego człowieka?

* * *

Rosya wydała dotychczas dwóch równorzędnie wielkich pisarzy: Puszkina i Tołstoja.

Puszkin jednak jest obcym i obcym nazawsze dla społeczeństw europejskich pozostanie. Jego wielkości trzeba bowiem każdemu europejczykowi, pragnącemu go poznać, tak dowodzić, jak się dowodzi twierdzenia geometrycznego.

Chcąc ocenić i zrozumieć jego wielkość, trzeba poznać nietylko Rosyę dzisiejszą, jej wierzenia, dążenia, smutki i wesela, ale i jej przeszłość od nas aż do Puszkina i daleko poza niego — Tołstoj podobnego udowadniania nie potrzebuje.

Dzieła jego ze względów, o których nadmieniliśmy, niedoceniane lub mało znane u nas, są najbardziej cenione w społeczeństwie anglo-saskiem, a więc w tem społeczeńsrwie, które w trosce o przyszłe losy, o przyszły rozwój ludzkości, przoduje wszystkim społeczeństwom świata. Jest to może najwymowniejszą ilustracyą próżności dociekań o nieeuropejskości lub niearyjskości Tołstoja.

Jest on nietylko europejczykiem!

Tołstoj jest tym wyjątkowym europejczykiem, który swą przedziwną intuicyą nietylko odczuł i zrozumiał najlepszą troskę najlepszych umysłów Zachodu, ale kierowany swym wielkim geniuszem, a podtrzymywany tą wielką cnotą obywatelską, którą Rzymianie słowem „virtus“, a nasz język odwagą cywilną mianuje, cnotą, właściwą tylko ludziom bardzo wysokiej kultury, pouczył największych mistrzów słowa, co czynić mogą i powinni, aby zmora ponurej przyszłości raz nazawsze z trosk świata wykreśloną została!

Zazdrościć go Rosyi może każde cywilizowane społeczeństwo!“

Po słowie wstępnem p. Szymańskiego prof. Marjan Zdziechowski wygłosił odczyt o myśli przewodniej Tołstoja, który umieściliśmy na początku niniejszego zeszytu. W zakończeniu gorącemi słowy podnosił nieśmiertelne znaczenie Tołstoja, jako jednego z największych nauczycieli rodu ludzkiego.

Przemówił następnie prof. Kazimierz Morawski i nawiązując rzecz do pięknych odczytów p. Szymańskiego i prof Zdziechowskiego, zwrócił uwagę na pewne analogie, jakie między Tołstojem a naszymi największymi poetami zachodzą. Rozłam pomiędzy słowem a czynem, który jest tragizmem Tołstoja, przecież i u naszych wielkich poetów widoczny, a okrzyk: „Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!“ jest tego wyrazem aż nadto silnym. Ogarnięty litością dla ludu, tem prawdziwie ewangelicznem „mi-

sereri super turbas“ (Matth. IX. 36. XIV. 14, Marc. VI. 34), Tołstoj, który w głębi duszy był przedewszystkiem artystą, w pierwszym okresie zmaga się niejako ze słowem, a w drugim — gardzi słowem. Lecz tu spotyka go to, co Słowackiego w ostatnim, analogicznym okresie spotkało: poezya goni za nim i nie opuszcza go. Prof. Morawski podniósł dalej, że gdy w 1889 roku obchodzono tu setną rocznicę urodzin Puszkina, wówczas ciążyło nad nami znamię duchowego pokrewieństwa tego poety z Rosyą oficyalną; wobec Tołstoja jesteśmy szczerzy, wiemy, że uprawiając słowa miłości, posunął on swój naród ku sprawiedliwości i względem nas również, a przez to czujemy w nim naszego sprzymierzeńca. Wobec tego prof. Morawski prosił o bliższe faktyczne informacye o stosunku rosyjskiego pisarza do nas i do naszej sprawy.

Na to w dłuższem przemówieniu odpowiedział prof. M. Zdziechowski. Zaznaczył, że słyszał nieraz zarzuty, iż Tołstoj nie zabiera głosu w sprawie polskiej i że nie ujmuje się za nami. Zarzuty te są niesłuszne. Nie wolno Tołstoja mierzyć tą miarą, której się używa przy ocenie polityków lub publicystów sprawami bieżącemi zajętych. Tołstoj sięgał dalej; był reformatorem moralnym i religijnym; więc stawiać go należy nie obok Rodiczewa albo Szarapowa, ale obok twórców religij i pierwszych nauczycieli chrześcijaństwa. Jak oni, sądził on świat nie ze stosunku tej lub innej teoryi politycznej albo społecznej, ale ze stanowiska idei Królestwa Bożego. Oczywiście, w imię tej idei potępiał on wszelki gwałt, a zatem i gwałt czyniony Polsce. ale potępienie swoje rozciągnąłby on i na gnębionych, jeśliby ci z orężem w ręku, czyli na drodze gwałtu zaczęli walczyć o prawa swoje.

„Gdy po wstąpieniu na tron Mikołaja II.— mówił prof. Zdziechowski — zaświtała u nas nadzieja, że w polityce rządu rosyjskiego nastąpi zmiana na lepsze w stosunku do nas, napisałem wówczas, uległszy chwilowo temu złudzeniu, rozprawę o religijno-politycznych ideałach społeczeństwa polskiego, którą ogłosiłem w *Siewiernym Wiestniku*. Przedrukowując ją potem i rozszerzając, odważyłem się zwrócić do Tołstoja, którego nie miałem jeszcze szczęścia znać, z prośbą o przedmowę. Odpowiedział mi Tołstoj obszernym listem — i list ten we wstępie do rozprawy umieściłem. Tołstoj, surowo piętnując w nim „dziką, głupią i okrutną“ politykę rządową, skierowaną przeciw wierze i mowie naszej, dodawał, że czyni to nie dlatego, iżby wiarę katolicką miał stawiać wyżej od innych wyznań, albo że język polski miał mu być milszym od innych języków, ale dlatego, że jest chrześcijaninem. Myśl tę rozwijając, stwierdzał że uczucie patryotyczne jest niebezpieczne, bo oparte będąc na oddawaniu pierwszeństwa własnemu narodowi przed wszystkiemi innemi, łatwo doprowadzić może do krzywdzenia innych narodów — i jest niepotrzebne, gdyż cokolwiekbądź dobrego uczynić mógłby człowiek w imię patryotyzmu, to samo uczyni on jako chrześcijanin“.

„Wkrótce potem — ciągnął dalej p. Zdziechowski — niektórzy z najbliższych przyjaciół i zwolenników Tołstoja zwrócili się do mnie z prośbą o dostarczenie im faktów w sprawie prześladowania katolicyzmu na ziemiach polskich. Mieli wówczas zamiar wydania książki o ucisku religijnym w Rosyi. W tym celu jeździłem do Jasnej Polany“. Następnie streszczając

podniosłe wrażenia ze swojego tam pobytu, p. Zdziechowski nadmienił, jak przyjemnie go uderzył kult Tołstoja dla powieści Sienkiewicza. Przez pryzmat tych powieści patrzał on z sympatyą na społeczeństwo polskie i ubolewał, że tak rzadko z niem w życiu swem się stykał. „Spotkałem tam— dodał mówca— Polaka hr. Augusta Cieszkowskiego i głośnego dziś wroga naszego, hr. Włodz. Bobrinskiego. Patrząc na tego człowieka cichego, milczącego i jak zdawało się skupionego w sobie, nie domyślałem się, że pomimo pozorów powagi myśl jego była tak poziomą, a serce tak kamienne, iż nie kruszyły tego serca słowa największego nauczyciela miłości społecznej, nie przypuszczałem, iż ktoś kto miał szczęście obcować z takim nauczycielem i mistrzem mógł przeobrazić się w namiętnego a płaskiego krzykacza, niezmordowanego w budzeniu najniższych nstynktów w narodzie swoim“.

W r. 1899 Tow. literackie rosyjskie w Petersburgu uroczyście obchodziło stuletnią rocznicę urodzin Mickiewicza, wtedy w Krakowie powstała w gronie kilku ludzi myśl odwzajemnienia się podobnym obchodem pamięci Puszkina. — „Ale chcąc zaznaczyć — mówił prof. Zdziechowski — nasze opozycyjne względem Rosyi oficyalnej stanowisko, nadaliśmy uroczystości charakter, że się tak wyrażę, tołstojowski, tj. wysławiając Puszkina, który literaturę rosyjską wzniósł na nieznaną jej przedtem wysokość, podkreślaliśmy, że wskazał on drogę temu, który jest najwyższem i najszlachetniejszem rosyjskiej myśli wcieleniem — Tołstojowi — apostołowi sprawiedliwości. Wysłaliśmy do niego hołdowniczy telegram, który podpisali w imieniu zebranych prof. Kaz Morawski, prof. Maryan Sokołowski i ja. Na to otrzymałem wkrótce następującą odpowiedź: „Wybaczcie mi, panie kochany, że tak długo na wasz miły list nie odpowiadałem. Telegramu, który Pan w liście przepisałeś, nie otrzymałem, ale ponieważ Pan go przepisałeś, więc doznałem tych uczuć wdzięczności oraz szczególnej radości duchowego obcowania, których doznawałem zawsze gdy się zbliżałem do Polaków. Serdecznie Wam dziękuję i proszę wyrazić moją wdzięczność Sokołowskiemu i Morawskiemu. O stosunkach moich z Panem pamiętam bardzo dobrze, pozostawiły one we mnie najlepsze wspomnienia. Artykułem swoim i rozmowami dopomogłeś mi Pan w świadomem zbliżeniu się duchowem z Polakami, czyli w tem, do czego czułem zawsze nieświadomy pociąg“... Na tem się skończyła moja korespondencya z Tołstojem, której przedmiotem była sprawa polska“.

Potem zabrał głos p. J. A. Herbaczewski, ażeby określić znaczenie Tołstoja dla Rosyi. Zwrócił na wstępie uwagę na tragiczny w duszy Tołstoja konflikt między artystą, który z natury swojej jest epikurejczykiem cieszącym się z życia, a moralistą, żądającym takiej sztuki „której duch wzbogaca, potęguje i wyzwala życie zbiorowe, zmuszając nawet niewolników do podjęcia heroicznych czynów“. Konfliktu tego źródłem było „szlachetne, czyste, dostojne“ serce Tołstoja: ujrzał on otchłań zatracenia, w której zapadała się Rosya i duszą całą zapragnął ją wyzwolić. Zrozumieć go można tylko na tle dziejów idei bizantyńskiej, która „skostniała i przerodziła się w departament policyjny“ i pełnić musi „rolę nawet nałożnicy oberprokuratorów Św. Synodu“. Przeciwko idei tej w imię Chrystusa zaprotestował Tołstoj i jest on pierwszym, wielkim, w stylu

Lutra reformatorem Cerkwi rosyjskiej, jest „głosem sumienia Rosyi, jej wyzwalającym się geniuszem“. Bohaterstwo jego w tem, „że potykając się i padając ze zmęczenia w drodze ku wyzwoleniu, kroczył naprzód z niezłomną wiarą w konieczne zwycięstwo idei prawdy, dobra i sprawiedliwości“.

Jego myśl przyczyni się do wywołania wielkiej moralnej rewolucyi w jego ojczyźnie. Jaki będzie rewolucyi tej wynik? To pytanie stawiając, nie można — zdaniem p. Herbaczewskiego — nie mówić o Włodzimierzu Sołowjewie; Tołstoj i Sołowjew, to dwie zwalczające się wzajemnie idee i zarazem dwie alternawy, które ma Rosya do wyboru wobec zupełnego bankructwa bizantynizmu. Tołstoizm prowadzi w swoich ostatecznych konsekwencyach do bezwyznaniowego racyonalizmu; Sołowjew nazywał Tołstoja antychrystem Ale Tołstoj miałby prawo nazwać Sołowjewa geniuszem Wschodu, ujarzmionym przez katolicki Zachód. — „W tragicznie — kończył p. Herbaczewski — przez Sołowjewa postawionym sporze jego z Tołstojem, który inteligencya rosyjska rozstrzygnęła na korzyść Tołstoja, ja osobiście stoję bezwarunkowo po stronie Sołowjewa — Wołając: cześć wielkiej pamięci Tołstoja, bohatera! — równocześnie muszę muszę zawołać: cześć wielkiej pamięci Sołowjewa!“

W końcu przemówił prezes Koła art.-lit., prof. August Sokołowski. Podziękował mówcom i publiczności za udział i zamykając akademią, podniósł znaczenie i pracę Klubu Słowiańskiego w sprawie kulturalnego zbliżenia Słowian.

Uroczystość cała nacechowana była nastrojem podniosłym.



KLUBY CZESKI A SŁOWIEŃSKI.

Radosna to dla nas wieść, że wszyscy posłowie czescy zorganizowali się w jedną wspólną grupę parlamentarną, w solidarny na zewnątrz ogólny klub czeski. Oby mu się wiodło jak najlepiej! Solidarność czeskiej reprezentacyi uważamy za kamień węgielny, na którym ma wznieść się gmach czeskiej polityki narodowej, w przeciwieństwie do uprawnionych dotychczas doktryn stronniczych, mających tak mało wspólnego z istotnemi potrzebami narodu. Kilka lat powodzenia nowego Klubu, a będzie też określone i ustalone stanowisko Czechów wobec idei słowiańskiej. Dotychczas bowiem była to raczej literatura przeszczepiana do polityki, niż polityka! Idea słowiańska wymaga jak najsilniejszego poczucia narodowości, każdej z osobna — a nie mglistych rojeń ze stanowiska kosmopolityczno-konserwatywnego, liberalnego, postępowego itp. Za mało było czeszczyzny w czeskiem słowianofilstwie i dlatego nie przynosiło ono nikomu korzyści, ni Czechom, ni innym. Było ono szumnie dekorowaną nijakością. Teraz można mieć nadzieję, że jak w Klubie czeskim pójdą sobie na drugi plan wszelkie klerykalizmy, liberalizmy i inne fikcye frazeologiczne, bo wyprze je ściśle określony interes narodowy, podobnież z dyskusyi czeskiej nad sprawą słowiańską znikną z czasem frazesy, a słowianofilswo przestanie być uprawiane, jako sposobność do

propagandy stronniczej, lecz stanie się ideą konkretną, w której na samym początku trzeba jasno wiedzieć, co ona ma Czechom, jako takim, przynieść, a co od nich otrzymać.

Solidarność utrzymywana przez czas dłuższy, będzie szkodą polityki narodowej, aż z dłuższego sprowadzania rozmaitych prądów do wspólnego mianownika wypłynie ścisłe określenie interesu politycznego na wewnątrz i zewnątrz.

Pragniemy, żeby to nastąpiło jak najprędzej, bo wymaga tego interes polski i słowiański. Koło Polskie w parlamencie wiedeńskim będzie miało niejedno zadanie ułatwione przez to, że będzie miało nareszcie do czynienia z Czechami, a nie z liberałami, postępowcami itp. czeskiego języka! Stosunki wzajemne czesko-polskie mogą się wyjaśnić znakomicie. Dotychczas bywało tak, że gdy Polacy nie zgadzali się w czemś z jakiemś stronnictwem czeskiem, poczynało ono wołać, że to zdrada Słowiańszczyzny. To nadużycie skończy się, będziemy mieć nareszcie do czynienia z polityką czeską, a nie z polityką jednego stronnictwa czeskiego, zwróconą przeciw drugiemu, również czeskiemu.

Nie uważamy wcale za złą wróżbę dla Klubu tego, że istnienie jego zaczęło się od przykrego faktu „defenestracyi“ Dra Kramářa. Tyle tylko mielibyśmy do zarzucenia, że odbyło się to w sposób niepraktyczny, a może niegrzeczny zarazem. Należało raczej uprzedzić go i doprowadzić do tego, żeby oficyalnie nie kandydował. W rzeczy samej jednak dobrze się stało, że „przesilenie prezydyalne“ odbyło się przed ukonstytuowaniem się Klubu, niż gdyby miało ciążyć nad pierwszemi miesiącami jego istnienia i wybuchnąć potem tem ostrzej, grożąc jedności klubowej. Było ono nieuniknionem, a więc lepiej, że załatwiono się z tem z góry, odrazu.

Stronnictwo młodoczeskie, czeskie postępowe i morawskie ludowe złączone były i dotychczas — jakkolwiek dość luźnie — we wspólny „Klub czeski“, stanowiąc w ten sposób grupę po agrarnej najliczniejszą i Dr Kramář był kandydatem wspólnym całej tej grupy. Było wątpliwem, czy inne grupy zechcą na niego głosować. Ten klub „czeski“ chciał się więc porozumieć z agraryuszami co do kandydata na prezesa ogólnego Klubu i wystosował nawet urzędowe pismo o to, lecz nie otrzymał odpowiedzi, ani nawet ustnie! (*Nar. Listy* Nr. 329).

Było to zapowiedzią aż nazbyt wyraźną, że coś się knuje. Wiedziano zresztą o tem prywatnie od dawna, od kilku miesięcy, od pierwszych zaraz zabiegów o załczenie wspólnego Klubu, że inne stronnictwa czeskie nie przystaną na prezesurę Dra Kramářa; co więcej, mówiono jasno i wyraźnie, że nie wstąpią do Klubu, gdyby Dr K. miał zostać prezesem. Sytuacya była więc pod tym względem aż nazbyt jasna. Niezrozumiałem jest, jak można było wobec tego narażać przywódcę młodoczechów na niezawodną klęskę? Budzi się podejrzenie, że zależało na tem, żeby tę klęskę poniósł i dlatego podano go na kandydata. A w takim razie nie można uchronić się od wniosku, że „defenestrowany“ miał przeciwników we własnem stronnictwie, że młodoczesi sami chcieli, żeby się tak stało. Chcieli „defenestrować“, tylko nie własnemi rękami, bo to już jakoś nie wypadało.

Klęska Dra Kramářa tem cięższa, że kontrkandydatem był także

młodoczech; dano mu więc jak najwyraźniej do zrozumienia, że chodziło tu wyłącznie tylko o jego osobę.

Kluby agrarny i katolicko-narodowy wysunęły kandydaturę Dra Fiedlera, a radykali przystąpili do nich. Na 74 obecnych głosowało 52 na Fiedlera, 20 na Kramářa, a 2 kartki oddano próżne. Młodoczesi odbyli naradę, po której Fiedler oświadczył, że wyboru nie przyjmuje, bo kandydatem grupy (ściślejszego klubu) jest tylko Dr Kramář, a więc na niego głosować należy.

Ten ustęp z dziejów „przesilenia prezydalnego z góry" jest zagadkowy. Wiedziano, że Dr K. nie otrzyma w drugiem głosowaniu głosów więcej, niż w pierwszem. Zamiast odroczyć wybór, ażeby tymczasem ułatwić sytuacyę i Dr Kramářowi i Dr Fiedlerowi, postanowiono powtórnem głosowaniem zaakcentować jeszcze dobitniej porażkę tamtego.

W drugiem głosowaniu wzięło udział 75 posłów; Fiedler dostał znowu 52 głosów, ale Kramář tylko jeden głos, natomiast prezes agraryuszów Udržal 6 głosów, a próżnych kartek znalazło się aż 16! Młodoczesi udali się znowu na naradę; trwała ona tym razem długo, zanim pozwolono Fiedlerowi przyjąć kandydaturę. Cała sprawa odbyła się niezręcznie — bez należytej reżyseryi.

Podobno zawinił tu pośpiech. Może o tydzień później byłoby się obeszło bez tych przykrości.

Poseł Klofač — czeskie enfant terrible — wygadał się na zgromadzeniu w Trutnowie (27. XI.), że w dzień owego wyboru, 25. XI., aż do godz. 5-tej popoł. trzeba było jeszcze pozyskiwać ostatnich przeciwników zakładania wspólnego klubu. Nie można było wobec tego zajmować się ściślej samą kwestyą wyboru prezesa. Agraryusze wysuwali na to stanowisko do ostatniej chwili Udržala; dopiero kilka minut przed głosowaniem zgodzili się oficyalnie na Fiedlera, — o którym prywatnie mówiło się jednak od kilku miesięcy. Wybrano go dlatego, że nie miał nigdy z nikim żadnych sporów, a więc uważa się go za najsposobniejszego do łączenia stronnictw we wspólnym Klubie, solidarnym na zewnątrz.

Venkov — główny organ agraryuszów — zażegnuje możliwość frondy, nie szczędząc „defenestrowanemu" słodkich słówek: „Chociaż Dr. Kramař nie jest prezesem Klubu, zapewne znajdzie zawsze sposobność użycia swych zdolności. Inni zasłużeni politycy czescy nie są również prezesami, a nie wysnuwają z tego żadnych nadzwyczajności, tylko pracują uczciwie dla sprawy czeskiej; zapewne też uczyni tak i Dr. K., któremu wszyscy posłowie czescy chętnie będą dostarczać sposobności, żeby mógł zawsze być wybitnie przydatnym narodowi czeskiemu swem doświadczeniem i swemi wiadomościami. Nie może tu być mowy o jakiemś usuwaniu lub o nienawiści. Takie rzeczy wymyślają sobie tylko ci, którym potrzebne są rozterki za wszelką cenę".

Klofač i Choc zastrzegają się, że o ile chodziłoby w tej sprawie o neoslawizm, byliby radykali tem bardziej głosowali na Kramařa! *Samostatnost* pisała, że nie da się zaprzeczyć, że posłowie katolicko-narodowi istotnie ubijali w osobie Kramařa neoslawizm, a prawdopodobnie i agraryusze kierowali się temi względami, boć oni nie obesłali zjazdu sofijskiego umyślnie ze względu na „górę".

Nam wydaje się przyczyna klęski Dra Kramařa całkiem prostą: spostrzeżono, że nie posiada zdolności taktycznych. Wszak wszystko, co czynił, obracało się na wspak jego własnym intencyom. W parlamentarnej polityce taktyka podwójnie jest ważną sprawą, wybór prezesa wymagał więc jak największej przezorności. Impulsywność Dra Kramařa, usposobienie autokratyczne itp. — to wszystko są względy drugorzędne. Ale Dr. K. robił z reguły wszystko w niewłaściwą porę, nie umiał dobierać okoliczności, nie posiada perspektywy parlamentarnej — i to zaważyło na szali. Zapewne, że i „neoslawizm" ponosi porażkę w jego osobie; ale to byłoby tylko dowodem, jak płytkie jego korzenie w społeczeństwie czeskiem, skoro związany jest z osobą. Zresztą na neoslawizmie okazał się najbardziej brak zdolności taktycznych jego przywódcy.

Dr. Fiedler oświadczył po wyborze, że zamierza być tylko „prezesem administracyjnym". Uważajmy to wyrażenie za grzeczność względem „defenestrowanego". Nie bierzmyż tego poważnie, bo Dr. Fiedler za poważnym jest na to człowiekiem! Osobą jego zamierzamy zająć się obszerniej w następnym zeszycie.

Równocześnie, kiedy Dr. Kramářowi nic się nie udawało, udawało się wszystko Dr. Šusteršičowi, przywódcy Klubu słowieńskiego. i stronnictwa katolicko-ludowego. Reprezentant najdrobniejszego z narodów słowiańskich w Austryi rządził faktycznie słowiańską „Jednotą" parlamentarną, nadał Klubowi swemu wielką powagę, wysunął się do szeregu najwybitniejszych polityków w Austryi. Jak dotychczas, udaje mu się wszystko do tego stopnia, że budzi się podejrzenie, czy nie wydobył od Jowisza sekretu wszechmocności (jak wiadomo, Jowisz był dlatego wszechmocnym, że nigdy nie chciał niczego takiego, czegoby nie mógł). Mąż nadzwyczaj czynny, występuje publicznie często, a jednak ma się wrażenie, że nigdy nie powie wszystkiego, co myśli i że w działaniu świadomie ogranicza się, jak gdyby miał obmyślone następstwo kolejne swych słów i czynów. Neoslawizmu nigdy nie uznawał. *Slovenski Narod* domniemywa się nawet, że Dr. Kramář padł ofiarą polityki Šusteršiča. Jakkolwiek nie można przywiązywać do tego wagi, bo dziennik ten podejrzywa Dra Š. zawsze o wszystko — faktem jednak jest, że w obrębie Jednoty miałby Slovenski Klub sytuacyę kłopotliwą, gdyby na czele Klubu czeskiego stał Dr. Kramář.

Slovenec uważa upadek Kramářa za walną klęskę neoslawizmu, tej „najmłodszej fantazyi politycznej" i twierdzi, że niema żadnej wątpliwości, że znaczna większość posłów czeskich potępia t. zw. neoslawizm, a przynajmniej nie chce o nim nic wiedzieć" i dlatego musiał upaść K., jako „ojciec neoslawizmu". Ale *Slovenec* ma dla osoby Kramářa szacunek, bo „padł za wielką ideę, t. j. za ideę, którą sam uważał za wielką i którą uprawiał z idealizmem godnym szacunku".

Slovenec nazwał Dra Kramářa w Nrze 272 „zgasłym kometą", a o Klubie ogólnym czeskim pisze: „W tej samej chwili, kiedy ukonstytuowanie się Klubu nie wypadło po myśli jego ojca, zaczął się tem samem bój przeciw Klubowi i po kilku miesiącach łatwo może się zdarzyć, że rozbiją Klub ci sami, którzy go utworzyli. Mniemanie takie panuje u znacznej większości posłów czeskich, zwłaszcza wśród tych, którzy ocze-

kiwali, że Klub rozbije się zaraz przy kwestyi wyboru prezesa". Co do stosunku wspólnego Klubu czeskiego do „Jednoty słowiańskiej", sądzi *Slovenec*, że „głównem dążeniem trabantów Bienertha jest, żeby syreniemi głosami oderwać Czechów od południowych Słowian. Stare hasło: Divide et impera".

Dnia 29 listopada uchwalił nowo zorganizowany Klub czeski wejść w rokowania z obiema grupami południowo-słowiańskiemi (Zvezą i Klubem słowieńskim) celem gruntownej reformy Jednoty słowiańskiej. Czesi proponują następujące zmiany:

a) Klub czeski gotów jest należeć do Jednoty tylko jako jednolita całość, a nie (jak było dotychczas) jako cztery oddzielne grupy czeskie.

b) Prezesura Jednoty, niema być kolejno przy przedstawicielach różnych jej części („koczownicza" prezesura), lecz ma być wybrany prezes stały.

c) Jednota ma się zorganizować tak, jak Klub czeski, tj. na zasadzie solidarności na zewnątrz i odpowiedzialności każdego członka za stosowanie się do uchwał organizacyi.

Jak doniosły *Nar. Listy*, Klub czeski ma jeszcze postulat, który podano, jako wyjaśnienie do powyższych punktów. Mianowicie ma Klub jedno życzenie „pod względem moralnie-politycznym", a to, „żeby się skończył ten stan rzeczy, iżby mniejszość, a mówiąc konkretnie, jednostka: Dr Šušteršič rozstrzygał o polityce i taktyce posłów czeskich, którzy w Jednocie stanowią większość; a więc Klub czeski domaga się słusznie, żeby ta większość czeska miała należne sobie znaczenie w Jednocie".

Zaczęło się więc współzawodnictwo dwóch klubów słowiańskich tak rychło, jak gdyby czeski powstał dla umożliwienia sobie tego współzawodnictwa. Do pewnego stopnia można to było przewidywać. Rozstrzeleni na kilka grup Czesi ulegali przewadze Klubu słowieńskiego; zjednoczeni chcą wypłynąć na pierwszy plan. To rzecz prosta.

Trudność w tem, że Słowieńcy mają zawsze program, czego o Czechach nie można zawsze powiedzieć.

W chwili obecnej występuje Dr Šušteršič wzmocniony ogromnie moralnie wstąpieniem katolickich Chorwatów do swego klubu. Zaczyna reprezentować dwa narody słowiańskie. Jeżeli prawdziwym jest nasz domysł, że Dr Š. ma taktykę taką, że odkrywa swe karty succesive, w miarę okoliczności, początkowi temu należałoby przypisywać doniosłe znaczenie.

Dalmatyńscy Chorwaci dzielą się na dwa obozy: jedni sympatyzują z koalicyą serbochorwacką, drudzy z prawaszami. Wszyscy zaś posłowie dalmaccy, Chorwaci i Serbowie, należeli do Zvezy jugosłowiańskiej w parlamencie, wraz z posłami istryjskimi i liberałami słowieńskimi. Dnia 26 listopada nastało przesilenie w Zvezie. Czterej „prawasze": Dr Dulibić i księża: Prodan, Terić, Ivanišević wystąpili ze Zvezy, a wpisali się do „Klubu Słowieńskiego", tj. do katolicko-narodowej organizacyi Dra Šušteršiča, który nie tai się z tem bynajmniej, że dąży do połączenia wszystkich południowych Słowian w jednym wspólnym klubie.

Czy udałoby mu się pozyskać także Serbów? Na razie niema o czem

myśleć! *Naše Jedinstvo*, organ Dra Ivčevića, marszałka sejmu dalmackiego, zwraca zaś uwagę, że Chorwaci nie powinni działać na własną rękę, bez Serbów, a zwłaszcza Dalmatyńcy, tak blizcy... Bośny. Jest w tem dużo słuszności.

Dzisiaj zresztą przyjaciele polityczni marszałka Ivčevića nie wstąpiliby do owego Klubu choćby tylko ze względu na osobę Šusteršiča, „arcyklerykała“, któremu też *Naše Jedinstvo* nie szczędzi łatek. Wzajemna niechęć jest tak głęboka, iż nie jest niemożebnem, że i sam Dr. Šusteršič nie myśli o serbskich posłach z Dalmacyi inaczej, jak tylko o ich wykluczeniu, o wyparciu ich za nawias. Nie twierdzimy tego; stwierdzamy atoli, że nie jest to nieprawdopodobnem. Powszechnie się też tak sądzi o polityce słowieńskiego stronnictwa ludowego, którego reprezentantem jest Dr. Šusteršič. O ile sądzi się słusznie, o ile zaś tylko z pozorów, wobec których Dr. Š. uważa za wskazane zachowywać się biernie — wiedzieć nie można.

Pragnęlibyśmy, żeby to były tylko pozory. Powtarzamy przy tej sposobności, że zbliżenie się Słowieńców do koalicyi serbo-chorwackiej jest doniosłym postulatem politycznym, a kto dokonałby tego, stałby się postacią pierwszorzędną. Wszak koalicya ta powinna być użytą za pomost na Bałkan! „Klerykalizm“ i „liberalizm“, to są pojęcia apolityczne, dobre do banalnej agitacyi po powiatach, z dnia na dzień, ale czcze frazesy, bez jakiegokolwiek znaczenia, gdy chodzi o politykę naprawdę.

Klerykał i liberał mogą mieć najzupełniej te same cele polityczne. Tam zaś, na południu, istnieje taka ścisła wspólność interesów politycznych od Lublany do Sarajewa, jak zdarza się to rzadko gdzie i rzadko kiedy wśród sąsiadów. Trzeba tylko, żeby łuska spadła z oczu, a ludzie ci popadliby w osłupienie nad własną przeszłością polityczną, nad tem, że stosując do spraw politycznych metodę niepolityczną, wmawiali w siebie przez tyle lat rozmaite fikcye i według fikcyj dzielili się na stronnictwa, kopiąc pod sobą dołki jakby na komendę jakiegoś reżysera, który sam nienawidzi ich wszystkich jednako, a umiejąc suggestyonować, wyzyskuje ich podatność do suggestyi.

Twierdzenie nasze o potrzebie porozumienia politycznego katolickich stronnictw słowieńskich i chorwackich z koalicyą serbochorwacką spotkało się już raz ze stanowczem veto, i to ze strony bardzo nam przyjaznej, bo posła Stjepana Radića. Być może, że veto ozwie się i z innej strony, ale my utwierdzamy się w tem przekonaniu czem dalej, tem bardziej.

Niemożliwość?! Dzisiaj — być może, — ale jutro może się to zmienić, bo stosunki same prą do zmiany. Niema tu nic do rzeczy dzisiejszy antagonizm, skoro wypływa on ze względów bynajmniej nie politycznych, tylko... z frazeologii. Serbowie nie palą się dzisiaj do Austryi, ale Austrya może się zmienić względem Serbów, a na zmianę tę wpłynąć mógłby Klub słowieński, gdyby się porozumiał z koalicyą.

Piszemy tu o przyszłości, korzystając z przywileju miesięcznika, dla którego „dzień dzisiejszy“ nie stanowi nic innego, jak tylko punkt zaczepienia.

Ma więc słuszność Dr. Ivčević, że Chorwaci nie mogą porzucać współdziałania z Serbami; ale gdyby Dr. Šusteršič zechciał w tem współ-

działaniu wziąć udział, pogodziłby się z nim może Dr. Ivčević, rad, że wspólnej armii przybywa nowych pułków i to tak wypróbowanych, tak wyrobionych! A spierać się o liberalizm i klerykalizm można zawsze, przy każdej konstelacyi politycznej, w chwilach... wolnych od zajęć politycznych.

Dnia 29 listopada weszła tedy owa czwórka chorwacka oficyalnie do Klubu słowieńskiego. Prezes Šusteršič zaznaczył w mowie powitalnej, że Słowieńcy stoją na stanowisku chorwackiego prawa państwowego i że Słowieńców i Chorwatów należy uważać za jeden naród.

Stało się to tego samego dnia, kiedy Klub czeski podał Klubowi słowieńskiemu warunki co do dalszego współdziałania w Jednocie. Nie przesądzamy dalszego rozwoju sprawy, poprzestając na stwierdzeniu, że wszystkie te warunki można łatwo przyjąć i że *Slovenec* wyraził już nadzieję, iż Jednota wyjdzie z tego wielce wzmocniona.

Jeżeli tak będzie, natenczas wcześniej czy później narzuci się Jednocie sprawa koalicyi serbo-chorwackiej. Czesi są stanowczymi jej zwolennikami i mogliby to wziąć w swe ręce łatwo. Wzmocnienie czeskiego stanowiska w Jednocie jest dla koalicyi zyskiem, a gdyby udało się przyspieszyć skutkiem tego zainteresowanie się koalicyą politycznych czynników parlamentarnych w Austryi, mogłoby to stać się początkiem zmian gruntownych. *K.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

W kwestyi sporu polsko-**litewskiego** przemówił (po długiem milczeniu) ks. A. Dąbrowski, redaktor miesięcznika *Draugija* oraz szef sztabu litewskiej narodowo klerykalnej partyi. Uwziął się zwłaszcza na prasę polską. Publicystom polskim, którzy zaczęli nawoływać do naprawy stosunków polsko-litewskich w imię wspólnych niedających się zaprzeczyć interesów, daje taką oto odprawę (*Draugija* Nr. 42—44): „Gdzieindziej za „wspólne interesy“ uważa się sprawy Kościoła, oświaty, dobroczynności, trzeźwości, handlu i przemysłu, — u nas wszakże (jak samo życie mówi) nawet w tych dziedzinach żadnej wspólności niema. Dlaczego? Oto dlatego, że nasi „Polacy“ zapatrują się na wszystko sub specie polonitatis i wszystko czynią nie dla dobra kraju naszego, lecz dla wykazania, że na Litwie „jeszcze Polska nie zginęła“... Kościół dla naszych „Polaków“ istnieje tylko po to, aby bronił propagandy polonizacyjnej. Tak samo i szkoła. Tylko takie szkoły zasługują na ich sympatyę i względy, w których zaprowadzono język polski; inne szkoły bojkotują i zwalczają. ...Wziąwszy pod rozwagę tego rodzaju politykę ad majorem polonismi gloriam, nie można się dziwić, że zgodne współżycie Litwinów z Polakami stało się niemożliwem. I zaprawdę, jeżeli odrzucimy oratorskie krasomówstwo, to z utęsknieniem przez naszych Polaków oczekiwaną „naprawę stosunków“ będziemy mogli streścić w tych prostych, mniej więcej prawdopodobnych słowach: „My, Polacy litewscy, choć jesteśmy pocho-

dzenia litewskiego, nie chcemy i nie możemy być Litwinami, albowiem na wieki całem sercem oddani jesteśmy polskości, którą ze wszystkich sił starać się będziemy propagować i zachować w dworach naszych, aby promieniowała na całą Litwę; gdybyśmy nawet byli zmuszeni opuścić te nasze dwory, to sprzedamy je Mazurom, na złość z Polski sprowadzonym, aby broń Boże, nie dostały się w ręce „litwomanów", od których w imię „naprawy stosunków" domagamy się, by nie ważyli mięszać się do naszej pracy, mającej na celu wywalczenie wiekuistej chwały polskości na Litwie!"

Na domiar nieszczęścia ks. Dąbrowski niema żadnego zaufania do społeczeństwa polskiego, które — jego zdaniem — celowo uprawia dwulicową politykę: równocześnie chwali i „endeków — gryzoniów Litwy", i t. zw. „ułaskawiaczów", którzy zwalczając „endeków" propagują zgodę z Litwinami, — a czyni tak w tym celu, aby równocześnie mogła się cieszyć z „endeckiego podboju Litwy i Białorusi" i pysznić się „ideą braterstwa", świetnie maskującą ten podbój... Społeczeństwo polskie — sądzi ks. Dąbrowski — ma usprawiedliwienie w „ideologii Unii", której sens brzmi: „My, Polacy, Wam, Litwinom niczego nie jesteśmy obowiązani dawać, Wy zaś jesteście obowiązani dać nam wszystko"...

Jakże ciężko i boleśnie dogadać się z tego rodzaju szowinizmem litewskim, który postawił sobie za cel jedyny urzeczywistnienie manii: schłopić na gwałt nietylko kulturalne, lecz i ekonomiczne interesy szlachty!... Słusznie z tego powodu pisze *Kuryer Litewski* (Nr. 212): „Gdy miłośnicy Litwy w latach osiemdziesiątych kochali przedewszystkiem Litwę — jako cel, jako treść swego życia i pragnień, — dzisiejsi działacze litewscy nie mniej fanatycznie kochają każdy... swój program partyjny, w którym jedynie, zdaniem jego, naród litewski może zostać zbawiony"... Do takich właśnie działaczów należy ks. Dąbrowski.

W duchu więcej pojednawczym przemówił w tejże *Draugiji* (Nr. 41) niejaki K. Š. „Obok hasła braterstwa — pisze on — Litwini stawiają hasło równości, które Polacy tylko w teoryi uznają, stojąc na praktycznym gruncie historycznego prawa i obowiązku zachowania status quo. Oto źródło ciągłych litewsko-polskich nieporozumień, a nawet awantur"... „Jabłkiem niezgody" — zdaniem jego — jest szlachta litewska, która ułatwia Polakom bronienie już zdawna przez nich zajętych „pozycyj polskich" w myśl formuły „beati possidentes"... „Szlachta litewska (z małymi wyjątkami) pracę polonizacyjną prowadzi po dziś dzień, narzucając w pocie czoła odradzającemu się ludowi litewskiemu zupełnie obcą (?!), tylko na pewien czas od swoich sąsiadów zapożyczoną (sic!) kulturę!... Rodzi się więc pytanie: po czyjej stronie (ludu litewskiego, czy szlachty litewskiej) społeczeństwo polskie, kierując się uczuciem braterstwa, stanąć powinno, czyjej pracy przyklasnąć i sprzyjać zechce?" Na to pytanie zwłaszcza prasa polska musi dać prostą i jasną odpowiedź, albowiem „idea polonizacyi Litwy była wielkim błędem politycznym ze strony Polski" — błędem, który dzisiaj mści się, zwłaszcza na spolonizowanej szlachcie litewskiej. „Zdaje się, już pora — woła autor artykułu — aby prasa polska wypowiedziała się w tej kwestyi jasno i w imię braterstwa szczerze oświadczyła, że propagandy polskości, zwłaszcza w kościołach zrzeka się — już nie chce!... Dla szybkiego urzeczywistnienia świętej zgody

byłoby pożądanem, aby ze strony społeczeństwa polskiego padły takie prawdziwie braterskie, pod adresem wodzów ludu i szlachty litewskiej śmiało wypowiedziane słowa: „Poniechajcie, bracia Litwini, bratobójczej walki o mowę ojczystą, odrzućcie precz już dawno spróchniałe, dziś już szkodliwe ideały; podaj, szlachcicu Litwy, rękę bratu twemu, wieśniakowi, — my, Polacy, nie chcemy jego krzywdy; wzmacniajcie, budujcie, a nie niszczcie, burzcie, ojczyznę waszą! Rzeknij takie słowa, społeczności polska!“ — kończy autor wezwaniem.

Jakoby na złość temu wołaniu (aby było „wołaniem na puszczy“), chyba dla unicestwienia „świętej zgody“, propagowanej w „duchu chrześcijańskim“ w *Draugiji*, ks Dąbrowski pozwolił sobie na głos, wołający zaprawdę o opiekę niezgody. — Oto jaką opinię wydał on, ksiądz-Litwin, obrońca „moralności i zgody chrześcijańskiej“, o księdzu-Polaku, ś. p. Majewskim: „Był to Polak, pochodzący ex progenie israelitica, o czem śmiejąc się opowiadał nam w Petersburgu brat jego. Zapewne wskutek atawizmu zespoliły się w nim zarówno dobre, jak i złe cechy charakteru narodowego Żydów. Z jednej strony posiadał on silną wiarę, energiczny charakter i sporo cywilnej odwagi w swej pracy kapłańskiej; lecz z drugiej strony — pod wielu względami przypominał nie tyle naśladowcę Chrystusa, ile rabina żydowskiego... Nienawidził zwłaszcza Litwinów. Będąc profesorem w Petersburgu, a później rektorem seminaryum w Wilnie, z prawdziwie żydowskim fanatyzmem prześladował kleryków-Litwinów, którzy mu w niczem nie zawinili. Najwięcej żółci na Litwinów wylał w prasie polskiej... I nietylko przeciwko Litwinom, lecz i w innych polemikach wykazał ten nasz (litewski) wróg dziwną ciasnotę umysłu, niekulturalność, prawdziwie żydowską tendencyę do wypaczania cudzej myśli... Jednem słowem, był to człowiek niezdrowego charakteru, który wiele pracował, lecz tem, co zdziałał, ani chwały sobie nie zyskał, ani swemu społeczeństwu nie przyniósł korzyści“...

Nam się zdaje, że kto, jak kto, ale właśnie ks. Dąbrowski już zbyt często zdradza „dziwną ciasnotę umysłu, niekulturalność, iście żydowską tendencyę wypaczania cudzej intencyi, oraz chorobę charakteru“— zwłaszcza wtedy, kiedy mówi o kwestyi polsko-litewskiej. Żadne inne pismo litewskie nie zdobyło się i chyba nie zdobędzie się na podobnie „kulturalny nekrolog“! I po napisaniu takiego „nekrologu“, ks. Dąbrowski śmie jeszcze oburzać się na prasę polską, która tego rodzaju „działalność“ księży litewskich uważa za główną przeszkodę do porozumienia, — śmie jeszcze moralizować polskich publicystów!?...

Postępowe *Lietuvos Žinios*, omawiając (Nr. 86) sprawę żulińską w jej związku z apetytami nacyonalistów rosyjskich, słusznie zaznacza: „Rzecz prosta, że tym patryotom rosyjskim nie chodzi tu o obronę Rusinów, lecz o to jedynie, aby módz lepiej i zręczniej ciemiężyć tych (jak zwykli mawiać) „nikczemnych“ Polaków, oraz o to, by schlebiać Rusinom. Po bezstronnem rozpatrzeniu tej całej sprawy, jasnem się staje, że — jeżeli jest jakiś winowajca w sprawie żulińskiej— to tylko nauczyciel Greiss, lecz nie wszyscy Polacy. Rozumieją to przecież i sami działacze rosyjscy, ale oni szukają przyczepek. Obecna chwila dla czarnej sotni rosyjskiej szczególnie jest ważną dla spotęgowania agitacyi przeciw-polskiej, gdyż

w Dumie państwowej rozstrzyga się kwestya szkół początkowych, następnie kwestya wydzielenia Chełmszczyzny, wreszcie toczą się jakieś układy z Niemcami“... Jak widzimy, trzeźwego rozumu Litwinów nie zamącą nawet tragicznie o pomstę wołające lamenty *Diła*.

Nauja Lietuwiszka Ceitunga (Nr. 131), wychodząca w Tylży, poświęciła Słowakom specyalny, serdecznie napisany artykuł p. t. „Prześladowany naród“. „Żaden rząd tak okrutnie nie prześladuje podwładnych mu narodów, jak właśnie rząd węgierski, który nie przebiera w środkach, aby tylko zmadiaryzować zwłaszcza słowiańskie narody. Największą ofiarą tego ucisku i prześladowania jest naród słowacki, który jednak z godną wielkiego podziwu wytrwałością skutecznie walczy o swe prawa narodowe“... W końcu autor, podziwiając jedność Słowaków we wszystkich sprawach, naród obchodzących, — tę dziwną jednomyślność, której nie burzy nawet ten fakt, że naród się składa na wpół z katolików, na wpół z protestantów, — dochodzi do przekonania, że Słowacy wywalczą należne sobie prawa narodowe, pomimo niesłychanego ucisku i gwałtu ze strony rządu... *Józef A. Herbaczewski.*

Pewien ksiądz **ruski** wystąpił w bardzo charakterystycznym liście, ogłoszonym w *Rusłanie* (Nr. 160) p. t. „Powiedzmy sobie prawdę w oczy“ z całą bezwzględnością w obronie moralności chrześcijańskiej, której upadek w narodzie ruskim znamionuje antychrześcijańska forma walki o prawa narodowe, a zwłaszcza walka o uniwersytet, uwieńczona zabójstwem Kocki. Bynajmniej nie usprawiedliwiając Polaków, którym zarzuca zaślepienie, fanatyzm, zaborczość i także brak ducha chrześcijańskiego, nie usprawiedliwia również taktyki tych Rusinów, którzy sądzą, że browningami można zrealizować najszczytniejsze ideały. „Hasło szaleńców, że po trupach dojdziemy do postępu, zdobędziemy kulturę, urzeczywistnimy ideał narodowy, uzyskamy uniwersytet — wątpię, czy się da urzeczywistnić“ — słusznie przestrzega autor listu, twierdząc, że tylko to, co się zdobywa pracą, posiada trwałą dla narodu wartość, że niekulturalna forma walki demoralizuje naród. Jako wyznawca kulturalnej formy walki, opartej na moralności chrześcijańskiej, oburza się zwłaszcza na ten smutny fakt, ze socyalistę Kockę zrobiono bohaterem narodowym, że duchowieństwo ruskie podczas pogrzebu tegoż Kocki popełniło co najmniej nietakt, czcząc łącznie z tymi, którzy mu nad uchem śpiewali pieśni rewolucyjne, bezwyznaniowego studenta-socyalistę — jako bohatera narodowego. „Oto skandal — jawne zgorszenie, przykryte płaszczykiem patryotyzmu“ — woła zgorszony autor — „Nieszczęśliwym jest ten naród, który zalicza w poczet bohaterów narodowych wrogów Boga, Kościoła i Wiary! Uniwersytet jest naszym ideałem — to prawda, lecz ten ideał osięgnąć można tylko wytężoną, usilną pracą naukową, bez której niepodobna urzeczywistnić tak wzniosłego celu...“ Dotychczas stosowane środki w walce o uniwersytet uważa za samobójstwo narodowe. Partyjnie szowinistyczny nacyonalizm, propagujący walkę wbrew zasadom etyki, wbrew kulturze — zdaniem autora — otumanił, zwyrodnił nietylko świecką inteligencyę, lecz i duchowieństwo, które już traci poczucie prawdziwego ideału i pozwala sobie na formalne kpiny z Kościoła, czcząc pamięć „socyalisty, niewiadomo przez kogo za-

bitego w uniwersytecie". Uważa to za objaw zupełnego zaniku nietylko godności, lecz i powagi pasterskiej. „Na domiar złego trzeba było jeszcze i tego, żeby w cerkwi z ust każącego kapłana Bożego padły słowa, w zupełności profanujące Chrystusa, Dom Boży i powołanie kapłańskie — słowa, porównywające socyalistę, wroga Boga, Wiary i Cerkwi ze świętymi, wynoszące go jako ideał, jako męczennika za prawdę Bożą — słowa, zaszczepiające w duszy ludu i narodu pojęcie kłamliwej prawdy i fałszywego ideału, a publicznie bezczeszczące miejsce święte... Nasi patryoci oczywiście wywyższają i wysławiają takich kapłanów, którzy z nadmiaru patryotyzmu wyrzekają się głoszenia przykazania „Nie zabijaj", aby głosić świeckie doktryny i pojęcia... Kiedy chodzi o obronę Cerkwi i Boga, wówczas nas, kapłanów, niema; lecz kiedy chodzi o jątrzenie, o agitacyę, o propagandę niby to patryotycznych haseł, wówczas „panojcowie" wspaniałomyślnie występują w roli duchownych patryotów"... Ta wstydem, oburzeniem i boleścią tchnąca skarga szlachetnego kapłana Rusina, niestety, jest tylko „głosem, wołającym na puszczy ruskiej". Ministeryum narodowe *Diła* umie zawsze odłączyć „religię od narodu", kiedy tylko zapragnie „kanonizować" choćby nawet anarchistę — jako „świętego patrona Rusi". Duchowieństwo musi uznać to „ministeryalne rozporządzenie", bojąc się narazić na ordynarne wymyślania począwszy od „Macochów" (nowy termin wymyślania duchowieństwu), a skończywszy na „kleszej zarazie" (jak to czyni *Zemla i Wola*, tak ordynarnie wymyślająca metrop. Szeptyckiemu, jak „potrafić" umie chyba tylko... bosiak z nad Wołgi i Kamy).

Więc nie dziw, że moskalofilski *Gołos Naroda* (Nr. 34) pozwala sobie pokpiwać z Cerkwi ruskiej w sposób zaprawdę nieparlamentarny. „Pasterze gnuśnej Ukrainy — są słowa *Gołosa* — zdradzili Cerkiew swoją, oddawszy ją w ręce okrutne za srebrniki małych, niskich trosk i pragnień. Świętą Cerkiew ruską i miejsce święte gwoli przypodobania się zabobonnej rozpustnicy, Ukrainie, zamienili na trybunę wiecową, na biuro ogłoszeń i agitacyi ukraińskiej, na wertep politycznego rozboju i nierządu. Ukraińsko-radykalni „popiki", a zwłaszcza fałszywi nauczyciele, Bazylianie, zamącili pokój święty i miłość braterską, którą nam Chrystus zostawił. Zbezcześcili wiarę świętą Cerkwi naszej — tę wiarę, za którą przodkowie nasi krew przelewali. Dzisiaj oto zwiastuni Antychrysta zowią tę Cerkiew cholerą i zarazą wschodnią!..." Moskalofilski *Gołos* rzuca anatema na tę Cerkiew, patetycznie wołając: „My nie chcemy obcych łachmanów, którymi chcą przykryć nasz święty obrządek wschodni — nam nie trzeba bazyliańskich nowo utworzonych pieśni, ani szkaplerzy, paciorków, nabożeństw majowych... My mamy nasz grecki obrządek: nas nie oszukają, że nasi święci patronowie byli takimi, jak współcześni duchowni nauczyciele!"

W nadesłanym do *Rusłana* (Nr. 187) artykule p. t. „O naszej prasie i potrzebie organizacyi" nieznany autor, robiąc obrachunek dorobku literackiego w ostatnich latach, dochodzi do bardzo smutnych wniosków. „Literackich wydawnictw — nawet takich, jak dawniejsza *Zoria*, u nas niema. *Lit. Nauk. Wistnyk* „ulotnił się" do Kijowa, gdyż w Galicyi nie miał z czego żyć. Na wydawnictwa ukraińskie u nas prawie niema popytu: Spółka wydawnicza obumarła; Proświta ma tylko kilkanaście tysięcy członków, podczas gdy Słowieńcy (naród mniej liczebny od Rusinów

galicyjskich) w takiem samem towarzystwie mają przeszło 100 tysięcy członków! A cóż można powiedzieć o naszej muzyce, teatrze, malarstwie i rzeźbie? Gdzież one? Iak się rozwijają? Czy nie jest słuszną uwaga, że pod wielu względami myśmy się cofnęli?... Zresztą nikogo to nie boli, ani martwi. Cała troska naszej pracy streszcza się w ubolewaniu, że opozycya ruska w parlamencie była za słaba, aby mogła skutecznie zaradzić tym wszystkim naszym brakom... Wielka jednostronność — oto jedna z najcięższych win naszej prasy. Jednostronność, którą powiększa brak redaktorów z talentem i powołaniem". Do tych słusznych uwag można i to dodać, że atmosfera literacka i publicystyczna, jaką stworzyli niedouczeni dyletanci oraz agitatorzy, bynajmniej nie sprzyja rozwojowi tęgich umysłów, a tem bardziej rozwojowi sztuki, gardzącej wszelką tandetą...

Diło naprawdę zaczyna „tryumfować". Dokonało dwóch „wielkich czynów": zorganizowało obstrukcyę ukraińską w Sejmie w „europejskim stylu" parlamentarnym, oraz sfabrykowało „legendę żulińską" (t. zw. „Wrześnię ruską") w stylu bizantyjskim.

Politycy z obozu *Diła*, nie czekając, aż partye polskie w sprawie reformy wyborczej drogą kompromisu ze sobą się porozumieją, nagle postawili polskiej większości sejmowej takie wymagania, które można uważać za chęć udaremnienia wszelkich pertraktacyi, a zwłaszcza zdyskredytowania sejmu autonomicznego. Żądania Rusinów streszczają się w trzech głównych punktach: 1) zapewnienia im 40 proc. ogólnej liczby mandatów sejmowych; 2) wicemarszałkiem krajowym ma być Rusin, a poza tem 3 Rusinów zasiadać winno w Wydziale krajowym, złożonym z 10 członków; 3) zupełnego rozgraniczenia spraw kulturalnych. Poczytując te postulaty za kamień węgielny wszelkich dalszych rokowań w kwestyach, dotyczących szczegółów reformy wyborczej, posłowie ruscy postanowili nie dopuścić do obrad nad budżetem dopóty, dopóki sprawa reformy wyborczej nie będzie załatwioną. Większość sejmowa nie zgodziła się na tak obcesowo postawione żądania, więc posłowie ruscy rozpoczęli obstrukcyę.

Większość polska już w czasie obstrukcyi wyraziła gotowość przyznać Rusinom 43 mandaty, zreorganizować Wydział krajowy, przeznaczając dla Rusinów 2 miejsca na 8, oraz utworzyć z ruskiej reprezentacyi sejmowej korporacyę z prawem wyboru ruskich członków do komisyj sejmowych i t. d. Zaproponowała również wybór komisyi ugodowej. Atoli zgromadzenie mężów zaufania wszystkich stronnictw ukraińskich (nawet socyalistów), do którego odwołali się posłowie ruscy, jednomyślnie odrzuciło propozycyę polskiej większości — jako „chytrze obmyślany podstęp" (*Diło*) i wezwało Klub ukraiński do dalszej, jeszcze bezwzględniejszej obstrukcyi aż do wywalczenia tych postulatów, które stanowią minimum pragnień całego narodu. Posłowie ruscy wznowili przerwaną na chwilę obstrukcyę, wstydząc się przyznać, że odrzuciwszy pod presyą Rady Narodowej proponowany ze strony polskiej wybór komisyi ugodowej, popełnili wielki błąd polityczny.

Oto geneza obstrukcyi ruskiej w sejmie, podsycanej przez *Diło*, którego artykuły „polityczne", omawiające sprawę wyborczą, przeładowane już dawno oklepanemi frazesami i pogróżkami, zużytymi i nadużytymi komunałami, nie nadają się do rozważania, do streszczania. Robią oso-

bliwie dziwne wrażenie, że politykom z obozu *Diła* o nic więcej nie chodzi, jak tylko o powiększenie liczby „bohaterów“ ukraińskich za wszelką cenę. Kanonizować „świętych“ ukraińskich w uniwersytecie, w sejmie i... w Żulinie — oto „myśl“ polityczna *Diła*, które nie umie i nie może się zdobyć na prawdziwie narodową, racyonalną politykę, wolną od naśladownictwa tanich i zużytych form polityki.

Opinia *Ruskiego Selanina* (Nr. 30) o obstrukcyi ruskiej dosadnie a złośliwie charakteryzuje tę nieobliczalną politykę. „Ukraiński klub sejmowy — pisze *Rus. Selanin* — składa się z krzykaczów, leniuchów i durniów. Dwie ostatnie kategorye posłów, którymi komenderuje Staruch, są najmniej szkodliwe — nikomu nie pomogą, lecz nikomu i nie zaszkodzą. Jednej tylko rzeczy pilnują: wypłaty dyet. Grupa krzykaczów składa się z samej śmietanki partyi ukraińskiej — z adwokatów, dyrektorów, sędziów... Umieją tylko dużo obiecywać, a mało robić. Sejm jest zawalony sprawami, których załatwienia oczekują z niecierpliwością masy ludu, a nasi krzykacze tamują wszelką pracę, nie dopuszczając do żadnych obrad... Czy posłom ukraińskim zależy tak bardzo na reformie wyborczej, jeżeli aż tak dzikim sposobem żądają jej załatwienia? Nie! Posłowie ukraińscy zwąchali grosze i zapragnęli jak największe sumy zagarnąć dla siebie. Im chodzi głównie o rozdział subwencyi rolniczych i odszkodowania za niedoszłą budowę kanałów!...“

Dla uzupełnienia tej po chłopsku prostej opinii warto przytoczyć również opinię socyalistycznej *Zemli i Woli* (Nr. 40), charakteryzującą klub ukraiński temi słowy: „Jedną z najcharakterystyczniejszych cech naszych narodowców jest brak wiary w siebie, w swoją pozycyę, w swoją przyszłość. Czują, że stoją na słabych nogach, że pozycya ich chwieje się, więc szukają pomocy i ratunku. Lecz zamiast wzmocnić podstawę swojej pozycyi, szukają bocznego punktu oparcia. Właśnie tu jest źródło i przyczyna ich zagadkowej i niejasnej polityki. Ciągle te sławne zmiany kierunku, te wieczne skoki zajęcze, to w prawo — w stronę rządu (jako bocznego punktu oparcia), to w lewo — niby do mas ludowych, do podstawy. Ani tu, ani tam nie wytrwają, — ani tu, ani tam nie zbudują dla siebie trwałej pozycyi. Wiszą, zda się, w powietrzu, kołysząc się z jednej strony w drugą. To uderzą w surmę bojową, to złożą uniżony pokłon możnym tego świata. A dzieje się tak dlatego, że wodzowie naszych demokratów narodowych, a nawet radykałów, są urodzonymi rządowcami. Choć skóra ich niby to opozycyjna, lecz za to dusza ich nawskróś państwowa, za to rozum ich przystosowany tylko do służby dla możnych świata tego... Nie światopogląd polityczny, nie świadoma celu idea, niereformatorskie aspiracye, lecz tylko zupełnie przypadkowy fakt zmusza ich do opozycyjnego stanowiska wobec rządu. Marzeniem ich jest stać się partyą rządową, atoli cały tragizm ich położenia w tem spoczywa, że to marzenie nie da się urzeczywistnić...“

Diło posiada wszystkie zalety i wady demagoga, a choruje na niedorozwój myśli politycznej. Ratuje się naśladowaniem obstrukcyjnych i destrukcyjnych „wzorów“ (byle parlamentarnych), nie chcąc zrozumieć, że biednym jest naród, którego wodzowie, miast do rozumu politycznego, odwołują się do „tam-tamów“ i kiepsko sfabrykowanych „bomb myślo-

wych"... Przed kompromitacyą nie uratuje *Diła* nawet jego mania do „świętych bohaterów" ukraińskich, których liczbę nagle powiększył 7-letni Michaś Kochańczyk, rzekomo zamordowany (tak samo, jak Kocko) przez nauczyciela-Polaka w Żulinie... Zachodzi jednak ta przykra dla *Diła* obawa, że relikwie „świętych" ukraińskich może skonfiskować... hr. Bobrinskij na rzecz moskalofilów. Na tego rodzaju niespodziankę *Diło* — zdaje się — nie jest dostatecznie przygotowane. Łudzi się, że po załatwieniu się z „polską czarną seciną", potrafi się załatwić z rosyjską „czarną sotnią". Maluczko, maluczko, a zaalarmuje śpiącego w grobie Björnsona hiobową wieścią, że Polacy uchwalili w sejmie wywłaszczyć Rusinów z ich posiadania narodowego. Boć przecie do tego prowadzą wyrafinowanie chytre alarmy *Diła*, mające na celu tylko zdyskredytowanie Polaków w „oczach Europy" (a jakże!) za wszelką cenę. Już jest „Września ruska", czemuż niema być wywłaszczenia Rusinów? przecież uszy Paryża wiedną z braku senzacyj, zaś hr. Bobrinski pragnie zakupić jak najwięcej „panichyd" na intencyę... długiego zdrowia awanturującej się „duszy" *Diła*, która czarnej sotni rosyjskiej dostarcza meteryału żerczego, sobie zaś tylko upokorzenie ze strony moskalofilów!...

„My ich dogłupimy do naszego poziomu" — powiedział Katkow o Polakach. Takie samo hasło rzuca *Diło*: „My nietylko Polaków, lecz i całą Europę potrafimy dogłupić do naszego poziomu!" Uzbrojone w manię „dogłupiania" *Diło* miało już zaszczyt oskarżyć Matkę Boską Częstochowską o to, że pozwoliła i pozwala Polakom, aby w Jej imieniu Ruś i Litwę rabowali. Teraz wzywa na świadków wszystkich kanonizowanych „bohaterów" Ukrainy, że „morderstwo dzieciny ruskiej jest prawdą", bo tak chce *Diło* i basta... Nie pomogą żadne dowody: *Diło* chce mieć koniecznie „Wrześnię ruską" i nowego „świętego" na nowy 1911 rok!...

Artykułem „Wszechpolski nauczyciel — kat dziatwy ruskiej" *Diło* (N. 236) zaalarmowało prasę, że Bronisław Greiss (podejrzanego pochodzenia), kierownik ruskiej szkoły ludowej w Żulinie, jest sprawcą ohydnego morderstwa, dokonanego na 7-letnim Michasiu Kochańczyku, oraz kalectwa siostry jego, Róży, i kilku innych dzieci". Greiss — twierdzi *Diło* — już oddawien dawna z zamiłowaniem uprawiał sport katowania dziatwy ruskiej, szczególnie Fedia, Michasia i Róży Kochańczyków, których rodziców chciał zmusić do przejścia na obrządek łaciński, z tej przyczyny, że przed paru laty byli katolikami. „Gdyby nie śmierć Michasia Kochańczyka, oraz kalectwo jego siostry, Róży, ta bestya jeszcze długo katowałaby dzieci nasze. Czterech chłopców wieszał ten polski unarodowiony kat na rzemieniu, rozciągniętym przez tablicę, każąc innym dzieciom odwrócić się i zmrużyć oczy, aby nie widziały tej niecnej operacyi, zaś po operacyi, wymuszając na nich przysięgę, że nikomu w domu o tem nie pisną... Michasiowi Kochańczykowi kazał odmawiać „Ojcze nasz" po polsku. Gdy Michaś odpowiedział, że on Rusin i chce mówić „ruski pacierz", Greiss rzucił go na ziemię, skopał i potem uderzył go bokserem w głowę — później znowu rzucił nim o ziemię, pastwiąc się deptał biedną, nieszczęśliwą dziecinę, aż się cała krwią zalała. Dopiero wówczas, zmiarkowawszy, co zrobił, podniósł i obtarł dziecinę i zakazał jej nikomu o tem nie mówić, grożąc, że zabije!

Również wszystkim dzieciom zakazał komukolwiek o tem mówić... Wskutek tego Michaś przestał uczęszczać do szkoły i wkrótce zachorował na zapalenie mózgu, spowodowane (zdaniem Dra Czarneckiego, który chore dziecko badał) upływem krwi od silnego wstrząśnienia i uderzenia — 10. października dziecko zmarło, zaś 12. paźdz. żandarmerya wniosła doniesienie karne na Greissa"...

Tak się przedstawia „sprawa żulińska" w oświetleniu *Diła*.

W oświetleniu dokumentów, jakie przytacza prasa polska na obalenie tych kłamstw, ta sprawa przedstawia się odmiennie. Dr. J. Czarnecki (na którego „świadectwo" perfidnie powołało się *Diło*) na żądanie redakcyi *Słowa Polskiego* wystawił świadectwo lekarskie, stwierdzające, że „u ś. p. Kochańczyka, którego matka przywiozła do mnie, do Stryja chorego, zbadałem zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczem, że o pobiciu chorego przez nauczyciela matka przedemną nie wspominała, ani ja też nie znalazłem u chorego żadnych śladów pobicia"... Dokumentem drugim jest obszerny list X. Józefa Machowskiego, proboszcza obrz. łacińskiego w Żulinie, z którego wynika, że cała afera jest skutkiem oddawna już wyrafinowanie uplanowanej intrygi celem „wykurzenia" Greissa z Żulina, oraz że żandarm — Rusin, który wniósł doniesienie karne, przeprowadzając śledztwo namawiał dzieci do fałszywego zeznania!... Korespondent *Kurjera Warszawskiego*, który badał sprawę na miejscu, doszedł do takiej konkluzyi: „nauczyciel Greiss stosował wogóle surowe kary; Kochańczyk niezależnie od tego zachorował i zmarł;agitatorzy, systematycznie podbudzający wieś do wypędzenia nauczyciela polskiego i zmuszenia władz do dania nauczyciela ruskiego, postanowili wyzyskać ten smutny wypadek"... Urzędowy zaś komunikat brzmi: „oględziny sądowo-lekarskie stwierdziły, że chłopiec umarł śmiercią naturalną na zapalenie mózgu na tle ogólnej gruźlicy, znacznie rozprzestrzenionej w płucach, wątrobie i śledzionie. Gruźlica istniała jeszcze przed dniem rzekomego pobicia, które jeśli nastąpiło — a za tem nie przemawiają żadne ślady uszkodzenia zewnętrznego — nie mogło wywołać tego stanu chorobowego".

Diło zainicyowało początek tragikomedyi „handlu martwemi duszami" w stylu Gogola. — Chciało wyzyskać „sprawę żulińską" wyłącznie tylko dla swoich celów politycznych, lekkomyślnie zapominając o tem, że „obrońca uciśnionych Rosyan galicyjskich" — hr. W. Bobrinskij — postara się tę samą sprawę jeszcze lepiej wyzyskać w tym celu, aby wymusić na Polakach daleko idące ustępstwa dla rosyjskich mężów zaufania z *Prikarp. Rusi!*... I któżby się spodziewał, że się zacznie licytacyjny handel „duszyczką zamordowanej dzieciny ruskiej" we Lwowie i Petersburgu na cześć i chwałę wynalazczego *Diła?!* Zapóźno *Diło* spostrzegło, że pracuje dla „sprawy" Bobrinskich & Co., że jego grożą wiejące „odkrycia" sprzyjają tylko zdrowiu „galicyjskich Rosyan", że jego kłamstwem tuczą się Eulogiusze e tutti quanti. Zaczyna już zdawać sobie sprawę z tego, że każde po dziennikarsku sfabrykowane „zwycięstwo" ukraińców (à la sprawa żulińska) hr. Bobrinskij potrafi zapisać do złotej księgi „tryumfów Rosyi galicyjskiej". W temci jest właśnie tragikomizm położenia *Diła*, które się zaplątało w swoich własnych, podstę-

pnie zastawionych sidłach: owoce jego „zwycięstwa“ zbierać chcą moskalofile! Nie pomogą wściekłe, bezsilne insynuacye *Diła* (w stylu Katkowa), któremi usiłuje zamaskować swą moralną porażkę, cynicznie twierdząc, że „polska czarna secina“ usiłuje wyzyskać sprawę żulińską na rachunek już oddawna prowadzonych konszachtów z moskalofilami... Nie pomogą żadne kłamstwa: prawda moralnie policzkuje *Diło!*...

Hr. Bobrinskij i biskup Eulogiusz zakpili sobie z „rozumu“ politycznego *Diła*! Bobrinskij najpierw w liście do redakcyi *Nowego Wremienia*, później na posiedzeniu „Towarzystwa galicko-rosyjskiego“ w Petersburgu poruszył cały arsenał nacyonalistyczny, aby czyn „pedagoga polskiego“ przedstawić w najjaskrawszem świetle, a obudzić głębokie współczucie dla doli „Rusi ujarzmionej“. Wzywał „Ruś państwową“, „Ruś wolną“, aby dała wyraz oburzenia na ucisk polski „naszych braci galicyjskich“ i składała ofiary pieniężne na książki rosyjskie, przeznaczone dla czytelń i bibliotek rosyjskich w Galicyi... Bisk. Eulogiusz po uroczystem nabożeństwie w soborze kazańskim za spokój duszy Kochańczyka, wobec licznie zebranego tłumu (przy współudziale „prawicowych“ posłów) wygłosił przemowę, którą zakończył tem słowy: „krew męczennika będzie nasieniem, z którego wyrosną nowi bojownicy“. Godnym uwagi jest jeszcze ten fakt, że osławiony prof. Filewicz, który niejednokrotnie w swoich licznych artykułach odzywał się o *Dile* z wielkiem lekceważeniem, nagle — z powodu sprawy żulińskiej — zapałał do *Diła* iście renegacką miłością, powołując się na jego autorytet w zohydzającym polskie szkolnictwo artykule. *Nowoje Wremia* natomiast wyciąga z tej całej nieszczęsnej afery taką „polityczną“ konkluzyę: Polacy z państwa austryackiego pod wpływem Jezuitów, otaczających arcyksięcia następcę tronu, zwrócili się przeciwko Rosyi, odebrali Rusinom uniwersytet we Lwowie (?!) i prześladują różnymi sposobami żywioł rosyjski. Jedyna nadzieja polepszenia się stosunków polsko-rosyjskich to (risum teneatis) działalność Maryawitów“... (nam się zdaje, że jedyna nadzieja uzdrowienia „państwowej Rusi“ spoczywa w działalności iście rosyjskiej sekty skopców).

Nie oczyszczą *Diła* z plamy tej przykrej moralnej kompromitacyi nawet iście bizantyjskie insynuacye, że to wszystko, co w Petersburgu zrobiono z afery żulińskiej, ma związek z robotą „polskiej czarnej seciny“. Przecież *Diło* dobrze wie, że to są skutki jego własnej intrygi, w której sieciach samo się zaplątało, że fabrykowanem kłamstwem tuczy się tylko państwowa Rosya, na sfabrykowanem kłamstwie zbudowana! Na fabrykacyi „Wrześni ruskiej“ naród ukraiński tylko wiele ucierpi moralnie, zaś politycznie nic nie zyska. Więc cui bono ta afera? „Nasi działacze, zwłaszcza posłowie, — nawołuje *Diło* (Nr. 238) — powinni wytężyć wszystkie siły, aby świat się dowiedział, że jest nietylko „polska Września“ lecz także stokroć gorsza Września — Żulin!...“ Czy nie uczciwiej brzmiałoby takie wezwanie: Zwłaszcza przedstawiciele młodej kultury ukraińskiej powinni wytężyć wszystkie siły swoje, aby nie kłamstwo, lecz prawda zatryumfowała w narodzie ruskim na chwałę upragnionego pojednania polsko-ruskiego; albowiem tryumfujące kłamstwo — to nasienie barbarzyństwa!...

Diło, które urągliwie zabraniało i zabrania nietylko prasie polskiej,

lecz i *Rusłanowi* apelować do humanitarnych, ludzkich uczuć narodu ukraińskiego w sprawach Siczyńskiego i Kocki (których uważa za nietykalnie „świętych bohaterów“ Ukrainy), perfidnie i przewrotnie pozwala sobie wygłaszać tego rodzaju tandetne frazezy etyczne: „A prasa polska — opinia polska, słysząc i czytając o tej ohydnej zbrodni, milczy, albowiem nienawiść do narodu ruskiego pożarła jej wszystkie uczucia ludzkie, albowiem dziecina ruska — to nie dziecina, ojciec i matka Rusini — to nie ojciec i matka, bo tam, gdzie chodzi o Rusina, milknie w duszy tej opinii wszystko, co jest ludzkiem, budzi się zwierz, zaślepiony egoizmem!...“ Tu już bizantynizm *Diła*, kanonizujac mordercę Siczyńskiego, „nadaremno zaś odwołując się do humanitarnych uczuć narodu polskiego“, skutecznie rywalizuje z bizantyjską etyką Katkowów, Bobrinskich i Eulogiuszów! Trzeba tylko na to wszystko wzruszyć ramionami i dostojnie milczeć, albowiem „etyczne polemiki“ z *Diłem* tylko do zdziczenia prowadzą...

Kiedy *Diło* zrozumie, że prowokacyą i jątrzeniem narodowych uczuć polskich nie zdoła osięgnąć tego, co sobie postawiło za cel i zadanie, wówczas stanie na punkcie nietylko możliwej, lecz i rozumowo koniecznej zgody.

Cała dotychczasowa działałność jego, moralnie i politycznie terroryzująca naród polski, aby go za wszelką cenę jeżeli nie zohydzić, to upokorzyć (wobec Europy — a jakże!) — wyklucza nawet myśl o ugodzie. Cytując w Nrze 254 rozsądny głos *Dziennika Petersburskiego*, nawołujący i Polaków i Rusinów do opamiętania — do zawarcia zgody, *Diło* jednak nietylko nie hamuje swojej manii terrorystycznej, lecz, zda się, na urągowisko zgodzie, pozwala hulać swoim nerwom dziennikarskim złośliwie szydząc: „praktyki Greissów — to normalnie trwały u nas stan i nikomu do głowy nie przychodzi myśl, żeby to było coś wielkiego!..“ I z kogo, z czego *Diło* tak cynicznie pokpiwa? Za niedowiedzione winy polskiego nauczyciela bezcześcić całe szkolnictwo polskie — ba! nawet duszę narodu polskiego, rzekomo wyzutą z wszelkich uczuć humanitarnych, i równocześnie wyrażać pragnienie zgody — może tylko partyjnie zwyrodniały demagog, któremu zależy tylko na jątrzeniu niskich instynktów nienawiści rasowo-klasowej, a nie na zgodzie! *Diło* naprawdę spełnia w narodzie ruskim osobliwą rolę dziwnego straszydła na ludzi dobrej woli, których odstrasza wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami. Z tej roli, zdaje się, jest bardzo zadowolone: „panuje“ wszechwładnie terrorem, niestety! Atoli nie ten zwycięża, kto najgłośniej krzyczy, lecz ten, kto mądrze myśli i czyni, nie lekceważąc kultury moralnej, bez której kultura narodowa jest niczem. — Tę prawdę *Diło* kiedyś, kiedyś sobie przypomni. Oby nie zapóźno...

Dziecię „szerokiej natury“ **rosyjskiej**, hr. W. Bobrinskij, z powodu sprawy żulińskiej pozwolił sobie „szeroko pohulać“ na rachunek oczywiście Polaków, którzy zdaniem czarnosecinników istnieją tylko poto, aby spłacać Europie długi moralnych bankrutów rosyjskich... Przeciwko tej czarnosecinnej orgii powstała cała uczciwa prasa rosyjska. *Utro Rossii* słusznie zaznacza: „Wszczęty przez prasę hałas z powodu sprawy Ko-

chańczyka nasuwa nam wiele smutnych myśli. Taki wypadek nie może plamić całego społeczeństwa polskiego bez względu na to, czy rzeczywiście zaszedł fakt zabójstwa ruskiego chłopca przez nauczyciela Polaka, czy to tylko owoc chorobliwie podnieconej fantazyi. My, Rosyanie, u siebie w domu, byliśmy i jesteśmy świadkami jeszcze wstrętniejszych wypadków, jak naprzykład działalność nauczyciela religii — O. Wostorgowa. Smutnem jest to, — kończy *Utro* — że z powodu takiej sprawy rodzi się nienawiść w środowisku kulturalnem, smutnem jest to, że głosowi, zwiastującemu ten fakt, wtórują wściekłe nawoływania do walk narodowych, smutnem jest to, że za winę jednostki czyni się odpowiedzialnym cały naród, że ci sami obrońcy prawdy i sprawiedliwości, którzy najwięcej się oburzają na tę sprawę, pierwsi nawołują społeczeństwo rosyjskie i rząd do czynów niesprawiedliwych, do gwałcenia prawdy, domagając się represyi i zemsty. niegodnej szanującego godność swoją narodu!"...

Petersburgskija Wiedomosti opublikowały artykuł p. B. Kutyłowskiego p. t. „Niebezpieczna legenda", skierowany przeciwko baśniom i bredniom pp. Bobrinskich, Filewiczów et tutti quanti. „Powstaje zła legenda — temi słowy kończy swój artykuł p. Kutyłowski — której rozpowszechnienie można porównać jedynie z rozpowszechnieniem choroby zakaźnej. Jeśli nikt, krom ciemnego tłumu, nie występuje przeciw hygienie fizycznej, tem składniej należy pamiętać o hygienie moralnej społeczeństwa. Porażone jadem nienawiści dusze gniją, niby ciała trądem dotknięte i w dobie ciężkich prób losu, które spadają na wszystkie kraje i narody, wypada — niestety, zapóźno — przekonywać się o marności tych chorych dusz, o ich niezdolności do podjęcia spraw wielkich i czynów potężnych".

Towarzystwo Kultury Słowiańskiej w Moskwie, poruszone sprawą żulińską, która rzuca ciemną plamę na kulturę zainteresowanych w tej sprawie narodów, zaprojektowało urządzić cały szereg wykładów, głównie w tym celu, aby ułagodzić coraz potężniej wybuchającą wzajemną nienawiść Rosyan do Polaków, Ukraińców do Polaków... Referaty wygłosić mają zaproszeni przedstawiciele tych trzech narodowości.

Meńszikow zwraca uwagę *(Nowoje Wremia*, art. „Monaco umnichów") na ten dziwny zbieg okoliczności, że w przeddzień 40-letniego jubileuszu metropolity Antoniusza Izba sądowa zasądziła na rok więzienia „bogosłowa" Uspieńskiego, którego sprawa narobiła wiele hałasu i zgorszenia, rzucając zbyt jaskrawe światło na zakulisowe sprawy władz duchownych. To, co Uspieński do spółki z mnichami wyprawiał w Aleksandro-Newskiej Ławrze, grozą przejmuje Meńszikowa, który — oburzając się na niski wymiar kary — pozwala sobie nawet wątpić w możliwość sanacyi stosunków, panujących w różnych Ławrach i seminaryach duchownych. Założyć w Ławrze Aleksandro-Newskiej dom gry, wyprawiać wstrętne orgie, okradać skarb pod pozorem ekspropryacyi bandyckiej i t. p., wymierzyć niski stopień kary na „kozła ofiarnego" i znowu spocząć i czekać, aż się pojawi nowy skandal!

Rozważając to, Meńszikow nie szczędzi gorzkich wyrzutów nawet pod adresem dostojnego jubilata, któremu poczytuje za złe to wła-

śnie, że dopuścił do znihilizowania zwłaszcza petersburskiej Akademii duchownej, z której wyszli tacy „działacze“, jak Gapon i inni „burzyciele i bombiści“. „Tragedya ruskiego prawosławia — są słowa jego — rozgrywa się nie w niższych warstwach narodu, lecz właśnie w szkole teologów, szczególnie petersburskiej. Istotę tej tragedyi stanowi niedowiarstwo tych, którzy nauczają wiary — zwłaszcza niedowiarstwo wielce dziś popularnych „batiuszek-liberałów“. Na zewnątrz wszystko niby w porządku, lecz wewnątrz — obumieranie ducha Chrystusowego: oto straszny dramat naszej cerkwi. Niewykształcona część duchowieństwa naszego gnije w bagnie „życiowych“ grzechów w rodzaju tych, jakie wyszły na jaw podczas procesu Uspieńskiego. Wykształcona część duchowieństwa gnije w religijnym indyferentyzmie i agnostycyzmie. I czyż można mówić o narodowem prawosławiu, skoro nasz stan apostolski tak nisko upadł? O! gdyby nasi „batiuszkowie“ przejęli się duchem stoicyzmu od pewnej części katolickiego duchowieństwa! Na swoje i nasze nieszczęście „batiuszkowie“ nasi czerpią tylko ze źródeł pogańskich zwyrodniały epikureizm! Byłoby zaprawdę zbawiennym cudem, gdyby Bóg zmartwychwstał w naszem duchowieństwie. Według idei apostołów Cerkiew jest ciągłym czynem — ciągłem działaniem — i to tragicznem dopóty, dopóki Słowo Boże nie przetworzy świata tego. Według zamysłów zwyrodniałej państwowości Cerkiew jest bezczynnością — bezruchem! Zarówno świeckie zwyrodnienie niższych, jak i polityczna rozpusta wyższych warstw duchowieństwa naszego, jest skutkiem ogólnego rozkładu Cerkwi, który zatrzymać może tylko Bóg!“... Niestety, tylko Meńszikow w Rosyi ma prawo wygłaszać takie prawdy o Cerkwi prawosławnej. Innych głosicieli tej prawdy sam Menszikow każe wysyłać na Sybir — do katorgi! Ach, ten osławiony bizantynizm rosyjski! Zawsze nakazuje, aby „kocioł przyganiał garnkowi i sam zawsze smolił“... Meńszikow przygania hierarchii Cerkwi prawosławnej, a sam zasmala mózgi i serca iście rosyjskim dziegciem...

W obszernym artykule p. t. „Zjazd w Sofii“ (*Sławianskij Mir* Nr. 9) poruszył prof. Pogodin wiele bardzo ciekawych kwestyj, żywo obchodzących i Polaków. Nadewszystko wyraził głęboki żal z tego powodu, że szumnie zapowiedzianą realizacyę uchwał zjazdu w Pradze z winy głównego inicyatora, Dra Kramařa, uzależniono od łaski i złej woli „patryotów“ i nacyonalistów rosyjskich, którzy postanowili za wszelką cenę zignorować i odpowiednio zohydzić „kwestyę polsko-rosyjską, będącą — są słowa prof. Pogodina — naszą kwestyą państwową rosyjską, która się domaga rozwiązania nie na zjazdach publicznych, jeno u nas — w domu“... Z tego też powodu czyni gorzkie wyrzuty Drowi Kramařowi za to zwłaszcza, że wszedł w niebezpieczny kompromis z reakcyjnie zdradliwymi elementami Rosyi i tem samem zraził do siebie najlepszą część społeczeństwa rosyjskiego, która miała prawo oczekiwać lepszych i wznioślejszych rezultatów akcyi „neosłowiańskiej“, niźli polakożercze „tryumfy“ Bobrinskich i jemu podobnych „działaczów“... „Inteligencya rosyjska — słusznie akcentuje prof. Pogodin — ma prawo nie dowierzać jego (Kramařa) szczerości politycznej, albowiem zerwał z nią zupełnie“...

Omawiając przebieg zjazdu sofijskiego, ze wstrętem podkreśla ten

fakt obłudy politycznej: „słudzy reakcyi, gnębiciele Polaków, członkowie „związku narodu rosyjskiego“ u siebie w domu — wystąpili tu jako zwolennicy swobody konstytucyjnej w Bułgaryi“... „Czarne kruki“ reakcyjnej Rosyi zleciały się na żer... Więc nie dziw, że obrady zjazdu przybrały charakter manifestacyi politycznej, mającej na celu rehabilitacyę Izwolskiego, oraz ratowanie zagrożonych wpływów Rosyi.

Oczywiście za tę komedyę prof. Pogodin nie czyni odpowiedzialnymi Bułgarów inicyatorów zjazdu, który „nie był wcale zjazdem słowiańskim, lecz tylko... uroczystością bułgarską — świętem swobody, manifestacyą potęgi i rozkwitu Bułgaryi“... „Czarne kruki“ rosyjskiej reakcyi zleciały się po to, aby „hołdowniczo“ nakrakać, na czem Bułgarom wiele zależało... Bułgarzy zamanifestowali swoją potęgę, „czarne kruki“ Rosyi uroczyście nakrakały na cześć „ideałów Słowiańszczyzny“ (oczywiwiście z tem mocnem postanowieniem, aby je zadzióbać) i — zjazd się skończył. Rezolucya zjazdu, manifestująca „równouprawnienie i wolność narodów słowiańskich“, oczywiście nie przeszkodzi „czarnym krukom“ prowokacyjnie krakać: „bić żydów, gnieść Finlandczyków, dręczyć Polaków!“... Przecież Polacy — to „Słowianie II rzędu“... Kwestya polsko-rosyjska oczywiście i nadal pozostanie osobliwą sztuką „krakania z nut“ na pohybel Polakom, zaś na sławę i zdrowie Bobrinskim.

Prof. Pogodin pociesza wszakże siebie i Polaków nadzieją, że „z chwilą, gdy Rosya naprawdę stanie się państwem konstytucyjnem... opadną więzy, krępujące życie polskie i Polacy złączą się z nami w imię wspólnej pracy państwowej“... Lecz kiedyż to nastąpi? „Zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje“ — słusznie można zawołać. Zanim wzejdzie słońce „wolnej Rosyi“, trucizna reakcyjnej Rosyi zatruje ciało narodu polskiego nie bez uszczerbku i dla jego ducha! Naturalnie nic nie szkodzi pocieszać się myślą, że to tylko... zaćmienie słońca „wolnej Rosyi“ — słońca, które już wzeszło. Ale cóż pomoże to pocieszanie się? Wszak w Rosyi panują takie ciemności, o których Puszkin w wierszu „Biesy“ mówi: „mczatsia tuczi, wjutsia tuczi, niewidimkoju łuna... mutno niebo, noc mutna“... W noc taką tylko biesy rosyjskie hulają... *h.*

Zmieniło się widać dużo **w Czechach**, skoro Dr. Kramářowi wypadło polemizować z *Now. Wremieniem!!* Nie trzeba jednak sądzić, że Dr. K. zrywał pierwszy z „reptilią“; nie! to ona zerwała z nim! Mowa czeskiego polityka w delegacyach austryackich nie podobała się hr. Aerenthalowi, jako rusofilska, ale jeszcze bardziej nie podobała się organowi czynownictwa dla tej prostej przyczyny, że stwierdziła fakt, jak Niemcy ocaliły Rosyę przed klęską, którą byłaby jej zadała Austrya. Takie istotnie prawdziwe oświetlenie wielkiej polityki z czasu przesilenia anneksyjnego nie może się podobać Rosyi oficyalnej właśnie dlatego, że jest prawdziwem. Fikcya, jakoby Niemcy ocaliły Austryę, jest czemś niezmiernie drogocennem dla Petersburga, jest podwaliną jego dyplomacyi — a Dr. K. zabrał się rozwiać ją! Musiał więc stać się persona ingrata w Petersburgu. Dr. Kramář nie rozumie tego, bo nie potrafi się oryentować w rzeczach rosyjskich, łudząc się tylko, jakoby Rosyę znał. Przy-

puszcza, że w Petersburgu mają logikę taką samą, jak w Europie i dlatego dziwi się, że *Now. Wremia* z niego niezadowolone. Chciał Rosyi oddać przysługę, a tymczasem wyrządził jej swą mową znaczną szkodę, bo polityczne wyrachowania rządu rosyjskiego są zgoła inne, niż on przypuszcza. *Nowoje Wremia* nie popełniło żadnej nielogiczności, potępiając ową mowę Dra Kramářa. Nielogiczność popełnił on i popełnia ją dalej, traktując *Now. Wremia*, jako pismo poważne („list tak važný").

Mowa Dra Kramářa wywołała też incydent wśród delegatów polskich bardzo niemiły, bo Polak musiał przemawiać przeciw Polakowi, za co wina i odpowiedzialność spada na tego, kto incydent wywołał.

Głos hr. Wodzickiego sprawił nader przykre wrażenie, gdy biorąc zbyt tragicznie niektóre neosłowiańskie ustępy mowy Dra Kramářa, zarzekał się, że ze słowianofilstwem nie chce mieć nic wspólnego. Niepotrzebnie też dawał do zrozumienia, że przemawia jako Polak, jako Polak prawy, sterylizowany od wszelkiej słowiańszczyzny... bo zdarzają się Polacy, nie sterylizowani pod tym względem, a jednak nieźli, nieźli Polacy (n. p. Mickiewicz i stu kilkudziesięciu takich innych, których imiona w każdej encyklopedyi). Byłoby więc zgodniej z rzeczywistością, gdyby hr. Wodzicki był od razu zaznaczył, że przemawia tylko sam za siebie, a nie zmuszał posła Kozłowskiego do uzupełnienia swej mowy w tym sensie. Dodajmyż, że mowa p. Kozłowskiego była wzorową w treści i formie, co do argumentacyi i grzecznego sposobu podania jej na jedną i drugą stronę; o ile zaś dawała satysfakcyę Dr. Kramářowi, była godnem poważnego parlamentaryusza spełnieniem obowiązku i uchroniła Koło Polskie od możliwych zarzutów, jakoby nie umiało uszanować dobrej woli i uczciwej pracy u innych. Poza tem zdaje nam się, że cały neoslawizm zbyt wiotką był tkanką, żeby się wybierać na nią.. z siekierą. Był w tej pomyłce taktycznej widoczny brak oryentacyi politycznej i hr. Wodzicki przemawiał, jakby nie był posłem, lecz pochodził z jakichś sfer dworskich, z owych sfer sławnych z tego, że mają najfałszywsze pojęcia o tem, co się dzieje w państwie (vide proces zagrzebski itp.), a im mniej mozolą się nad nabyciem znawstwa rzeczy, z tem większą pewnością siebie ferują wyroki.

W sprawie żulińskiej zachowały się *Nar. Listy* nieszczególnie: Ruskie zarzuty podały natychmiast, polskie wyjaśnienia przemilczały zupełnie i dopiero po trzech tygodniach (27/XI.) doszły do przekonania, że „śledztwo sądowe jeszcze nieukończone, a więc prawda nie stwierdzona. Aż ją sąd stwierdzi, powiemy, co o niej myślimy". Byłoby to bardzo pięknie, gdyby było napisane o trzy tygodnie wcześniej. Dziennik ten nie może się jakoś pozbyć pewnych narowów co do swej taktyki. Lubi odrabiać po cichu, lecz stale to, co czasem zrobi głośno i z emfazą; powinienby jednak pamiętać, że ta właśnie taktyka (stosowana zresztą i do spraw czeskich) podkopała go tak, że nowi właściciele mają teraz niewdzięczne zadanie z podniesieniem go.

Minęły czasy, kiedy *Narodni Listy* przyznawały się wobec urzędów do 80.000 złr. rocznych zysków. Nastały czasy gorsze, prenumerata szczuplała coraz bardziej, ale siłą bezwładności pismo, uważane zawsze za główny dziennik, miało wpływy i... najwięcej ogłoszeń. Rodzina Gregrów (Prokop Gregr, burmistrz Groš, inżynier Novotny i inni) stawiała

jednak twarde warunki chcącej pismo kupić grupie Kramářa i długo trwały targi z powodu wygórowanej ceny, aż w końcu sprzedano je za 1,750.000 koron! Wkrótce potem zwinięto *Den*, a jednak prenumerata *Nar. Listów* stoi nisko. Jak oblicza *České Slovo*, mają obecnie 7270 prenumeratorów, z czego wypada na Pragę 3120, a na prowincyę 4150.

Nový Věk, „centralny organ czeskiego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego" (redaktor poseł Myslivec) marzy wciąż o wznowieniu „świętego przymierza" dla ochrony „ołtarzy i tronów", zagrożonych przez socyalistów, wolnomularzy, młodoczechów, młodoturków, Portugalczyków i kadetów[1]). Ideałem czeskiego stronnictwa chrześcijańsko-społecznego jest zaś cesarz Wilhelm II., a to z powodu swych mówek nabożnisiowskich. Wynosi go się pod niebiosa, traktuje na seryo, jako „reformatora" i stawia za wzór Habsburgom.

Na Morawach jest od r. 1905 „pakt" z Niemcami. Obejmuje kataster narodowy, obowiązkowe dwujęzyczne urzędowanie w gminach, gdzie znajdzie się 20% „mniejszości narodowej" (lex Parma) i zakaz przyjmowania do szkół ludowych dzieci nie władających przed wpisem językiem wykładowym (lex Perko). Dzięki „paktowi" zapewnił sobie żywioł czeski raz na zawsze większość w sejmie i w Wydziale Krajowym, a Niemcy upewnili się, że nie zada im się już dalszych ciosów środkami politycznymi. Zdawało się, że w sejmie morawskim nastanie święty spokój. Doświadczenie okazuje, że „pakt",— jak słusznie zwraca uwagę *Přehled* — powinienby obejmować jeszcze jeden punkt, a mianowicie regulamin czyniący obstrukcyę niemożliwą. Dzięki temu brakowi wstrzymali Niemcy obrady o niejednej ważnej sprawie, grożąc obstrukcyą. Tak było z projektami o tajnem głosowaniu przy wyborach gminnych, o reformie szkół wydziałowych, o zniesieniu opłat szkolnych itp. Korzystali z każdej sposobności, ile razy stanęła na porządku dziennym sprawa jakakolwiek, na której Czechom bardziej zależało, żeby wytargować dla siebie jaką „koncesyjkę", choćby n. p. narodowościowy podział zakładu dla ociemniałych, grożąc inaczej obstrukcyą. Od trzech lat sejm morawski jest faktycznie zagwożdżony, nie można zabrać się do żadnej większej roboty. Najpierw zaczęła się cicha maskowana obstrukcya Niemców w komisyach, aż skończyło się w ostatniej sesyi (w październiku) jawną obstrukcyą w Izbie.

Niemcy nie robili nigdy ceremonii z „paktem". Korzystając z niekonstytucyjnej metody obchodzenia się z konstytucyą w Austryi, wystarali się za czasów Marcheta o „przepisy wykonawcze"[2]) do lex Perko, sprowadzając tę ustawę do zera, czasem do absurdum. Trybunał administracyjny przyznał w r. 1909 (z powodu zażalenia w konkretnym wypadku) słuszność Czechom, uznając rozporządzenia Marcheta za sprzeczne z ustawą. Mając takie orzeczenie za sobą, wyprawiają Czesi do najwyższej instancyi jedną sprawę po drugiej. Niemcy w krzyk, że Czesi nie powinni przyzywać na pomoc Trybunału, bo jego orzeczenia kurczą im

---

[1]) nie „dowcipkujemy" bynajmniej, zestawiając te żywioły; o każdym z nich była mowa i z osobna i w rozmaitych kombinacyach i zestawieniach w artykułach *N. Věku* w ciągu listopada.

[2]) godne zestawienia z „postanowieniami obowiązującemi" w Rosyi.

„Besitzstand“ szkolny, a to przeciwi się „paktowi“, a zatem zachodzi potrzeba rewizyi paktu, którą chcą też wymusić jawną już obstrukcyą (popierają ich socyaliści).

Taktyka niemiecka była przy tem wszystkiem tak wyrafinowana, że uniemożliwiali czynności sejmowe zawsze wtedy, gdy okoliczności tak się składały, że powstawała przez to strata materyalna dla kraju. Wydany dnia 11 listopada przez czeską większość manifest stwierdza, że z winy mniejszości trzeba było corocznie uciekać się do doraźnych (a więc niedogodnych) pożyczek, tak, że deficyt wzrósł z 33 na 100, a za trzy lata (jeżeli tak dalej pójdzie) będzie wynosił 200 milionów koron.

Cała prasa **słowacka** przyjęła myśl, rzuconą przez *Slovensky Dennik*, zwołania z początkiem 1911 r. narodowego kongresu wszystkich niemadiarskich narodowości w celu wspólnego naradzenia się nad sposobem walki o prawa narodowe. Zamierzają Słowacy zaprosić nietylko Rumunów, Serbów i Niemców, lecz także węgierskich Słowieńców, mieszkających w liczbie coś 80 tysięcy za Dunajem, wzdłuż węgiersko-austryackiej granicy, oraz Rusinów, podobnie jak Słowieńcy węgierscy, nie posiadających zupełnie narodowej inteligencyi.

Życzymy tej myśli z szczerą sympatyą wszelkiego powodzenia, jakkolwiek zbytnio do niej się nie zapałamy. Wiemy bowiem z doświadczenia, jak się zwykle podobne próby w poprzednich latach kończyły pod wpływem intrygi rządowej. Przytem możnaby zwrócić się do organizatorów z żądaniem o przedstawicieli polskiej ludności. Powiedzieli sobie, że skoro nie można mieć na kongresie słowieńskich ani ruskich „inteligentów“, należy ściągnąć włościan, a będzie powinnością Słowaków upomnieć się o ich prawa. Tę samą zasadę należy więc zastosować do ludności polskiej, także pozbawionej inteligencyi, a wtedy dopiero kongres narodowości byłby kompletny.

Artykuł nasz o polskiej ludności na Słowaczyźnie prasa słowacka zbyła milczeniem. Ozwały się jedynie *Ludove Noviny* i rzuciły stek drwinek małej reporterskiej wartości na temat stańczykowskiej polityki, „konszachtów Głąbińskiego z Andrassym“ (?!) i bratania się Polaków z Madiarami. Co prawda, *Ludove Noviny*, to pismo ludowe, lecz i takie, jeśli nie chce wystawić sobie smutnego świadectwa, nie powinno posługiwać się tego rodzaju bronią. Na artykuł naukowy odpowiada się nie bezsensowemi kpinami, ale naukowymi dowodami.

Podnosząc sprawę polską na Węgrzech nie rzuciliśmy rękawicy w obóz słowacki, lecz owszem wzywaliśmy do wspólnej walki w zgodnym szeregu. Nie uważamy bowiem Słowaków za sprawców tego, że ludność polska na Węgrzech nie jest uznawaną. Walka nasza zwraca się przeciw Madiarom. Naszego zaś istnienia na Węgrzech chyba ks. Tomanek (redaktor *Ludovych Novin*) zaprzeczyć nie może, bo przecież prześladowany przez władze madiarskie, przebywał w różnych osadach i na Spiszu i w Orawie i zbliska przypatrzył się ludności polskiej. Czyżby patryotyzm zaciemniał mu oczy w przyznaniu publicznie tego, co sam niewątpliwie uznaje? Jeśli tak, to coby ks. Tomanek powiedział, gdyby Chorwaci na swojej ziemi, a Czesi na Morawach zaprzeczali bytności Słowaków?

W ostatnich czasach wydał minister oświaty rozporządzenie zwrócone do zwierzchności kościelnych, kierowników szkół i administracyjnych wydziałów komitatowych, nakazujące uczyć języka madiarskiego nawet w szkołach nierządowych. Prasa narodowa słusznie skrytykowała to rozporządzenie. Jedynie tylko madiaroński *Krajan* wystąpił w obronie i oto w jaki bezczelny sposób: Tego rozporządzenia nie mamy co ganić, ponieważ, gdy się nasze dzieci nauczą mowy państwowej, odniosą z tego wielką korzyść; jedynie tylko panowie przywódcy słowaccy, którzy z biedy słowackiej żyją, poniosą straty w tym wypadku, ponieważ nowa generacya węgierskich Słowaków nie będzie musiała udawać się do nich z każdem pismem madiarskiem. Hodżowcy rzucają się aż ze złości, bo gdy wychowa się nowa narodowa generacya naszych Słowaków, znająca mowę madiarską, będą musieli zamknąć swe redakcye, bo ich piśmideł nikt więcej nie będzie umiał czytać. Hodża pisał, że ze słowackich pieniędzy stawiają madiarskie uniwersytety, gimnazya, szkoły przemysłowe, a Słowakom nawet nie pozwolą, aby za swoje pieniądze stawiali szkoły gminne. Zapytujemy się, czy takie artykuły nie są jedynie po to nagryzmolone, żeby spokojnych Słowaków bałamucić i burzyć ich przeciw państwu, wierze i urzędom? Przecież wiemy że w Węgrzech były słowackie gimnazya, a gdyby celom i ustawom państwa odpowiadały, to po dziś dzień istniałyby. Narodowcy powinni wiedzieć, że na całym tym świecie Słowacy innej krainy nie mają poza krajem węgierskim. Rumun może iść do Rumunii, Niemiec do Niemiec, ale Słowak tu w Węgrzech ma swoich braci, braci Madiarów. Przyszłość Słowaków zależy od przyjaźni, która między Słowakami a Madiarami powinna być silną.

Takiemi to słowy, budzącemi odrazę i oburzenie w każdym uczciwym człowieku, stara się rządowy organ wpajać w nieświadomych poczucie patryotyzmu madiarskiego. Pismo wydaje osławiony renegat, zwący się dziś „Gerö", zmieniwszy nazwisko za cenę niską, (2 K.) umyślnie w celach agitacyjnych.

Dobre pojęcie o jego wartości moralnej i umysłowej można sobie wyrobić na podstawie ostatniego procesu prasowego *Narodnich Novin*. Gerö napisał w budzyńskim *Hirlapie*, że studenci prywatnego gimnazyum w Turčianskim Martinie (utrzymywanego przez Macierz słowacką a zamkniętego w 1874 r.), chodzili w rosyjskich narodowych strojach, przy każdej ważniejszej sposobności śpiewali rosyjski hymn, uczyli się po rosyjsku, a zapominali o gimnazyum i madiarszczyźnie, jako mowie państwowej. Józef Škultety odpowiedział na te głupstwa w *Narodnich Novinach* i nazwał autora ich nieuczciwym kłamcą, za co Gerö wniósł przeciw niemu oskarżenie. Škultety powołał cały szereg świadków, byłych uczniów, profesorów, a nawet członka komisyi śledczej, która z rozkazu rządu zamknęła gimnazyum. Wszystko to jednak niepomogło, a Škultety „za oszczerstwo" skazany został na miesiąc zwykłego więzienia, 400 K. grzywny i 200 K. kosztów procesu.

Narodny Hlasnik, pismo czysto ludowe, dotychczas dwutygodnik, od Nowego Roku będzie wychodził co tydzień. *ek.*

Posłowie **słowieńscy** do sejmu styryjskiego zwołali publiczne zgromadzenie w Maryborzu, ażeby wytłómaczyć taktykę, jakiej się w tym sejmie trzymają, posuwając się aż do obstrukcyi. Zgromadzenie zsolidaryzowało się z postępowaniem posłów i z warunkami, jakie podali niemieckiej większości. Słowieńcy nie mogą dopuścić do uchwalenia budżetu krajowego, skoro z pozycyi 20 milionów, wyznaczonej w nim na administracyjne, oświatowe i sanitarne potrzeby kraju, wyznaczono dla Słowieńców zaledwie nie cały milion, chociaż stanowią trzecią część ludności. W krajowej komisyi szkolnej niema ani jednego reprezentanta narodu słowieńskiego. W 28 szpitalach krajowych niema ani jednego lekarza słowieńskiego. Dla Niemców utrzymuje kraj 20 szkół wydziałowych, a słowieńskiej ani jednej. W urzędach krajowych i instytucyach jest 96 procent urzędników niemieckich, a tylko 4 procent Słowieńców. Dostawy wszelkie na rachunek kraju otrzymują wyłącznie niemieckie firmy. Skoro zaś nie zanosi się na poprawę w tych rzeczach, nie uważają posłowie słowieńscy za stosowne wyrzec się obstrukcyi.

Proces o obrazę czci, wytoczony przez Dra Tavčara wiceprezesowi towarzystwa młodoliberałów Rybnikarowi z powodu sprawy Hribara (zob. zeszyt październikowy str. 192) skończył się wprawdzie formalnie wygraną powoda, lecz wykazał, że dr. Ploj, filar liberalnego obozu i inni jego przyjaciele polityczni wiedzieli przeszło kwartał z góry, co Hribara czeka, ale go o tem nie uprzedzili, a poza jego plecyma wchodzili w rozmaite kombinacye w biurach ministeryalnych, w namiestnictwie, a nawet w organizacyach stronnictwa liberalnego.

Śmiała gra bana **chorwackiego**, na którą zwracaliśmy obszerniej uwagę w październikowym zeszycie, toczy się dalej, pchana ręką — trzeba to przyznać — zdolną do czynu w stopniu tak wysokim, jak tego dawno już nie widzieliśmy w Austro-Węgrzech. Skończyliśmy wówczas nasz przegląd spraw chorwackich na zapowiedzianem przez bana wystąpieniu przed zgromadzeniem publicznem w Osieku (25 września). Wystąpił śmiało i mowa jego stała się punktem wyjścia do nowego ugrupowania się prądów chorwackiego życia publicznego. Postawił kwestyę z całą szczerością: nie zawsze zdarza się Chorwatom mieć banem Chorwata, a więc nie należy mu rzucać kamieni pod nogi żądaniem niemożliwości. A skoro koniecznem jest do normalnego stanu kraju, żeby był rząd oparty na większości sejmowej, musi więc ban dążyć do utworzenia większości rządowej; uważa to za swój obowiązek. Radzi więc dać w sejmie spokój wielkim programom i sporom o politykę przyszłości, a wyzyskać sytuacyę, póki czas, żeby warunki ugody z r. 1868 były ściśle wykonane. O Serbach powiedział: „Nie uważam Serbów za osobną narodowość, lecz za krew z naszej krwi. Kto im wyrządza krzywdę, wyrządza ją zarazem narodowi chorwackiemu".

Inicyator tego zgromadzenia Dr. Pinterović, oświadczył, że grupa slawońska uważa się nadal za część koalicyi serbochorwackiej i stara się tylko wyjaśnić stosunki i nawiązać pomost do porozumienia koalicyi z banem.

Trzeba przyznać Dr. Tomašićowi, że trzyma się jednako statecznie wobec „dołu", jak wobec „góry" i to zjednywa mu szacunek. Nie

waha się zaznaczyć jasno swego stanowiska wobec rządu centralnego. Rjekę wezwał (bezskutecznie) do wyboru posłów do sejmu zągrzebskiego, a przed samemi wyborami mógł pochwalić się dwiema zdobyczami:

Według ostatniej umowy deputacyi regnikolarnych chorwacko-węgierskich miał rząd chorwacki prawo zatrzymania z tegorocznych podatków, zebranych w Chorwacyi, kwoty 23,800.000 na potrzeby autonomiczne chorwackie. Ban wydobył jednak od rządu centralnego kwotę wyższą, bo 26,750.000, przez co ocalił budżet krajowy od deficytu. Druga zdobycz ma znaczenie zasadnicze. Wszystkie sądy w Chorwacyi otrzymały rozporządzenie, żeby się nie zwracały do parlamentu budzyńskiego z żądaniami o zawieszenie nietykalności posłów z powodu pozwów sądowych, ale tylko do sejmu chorwackiego — gdyż posłowie chorwaccy posiadają nietykalność poselską z jednego tylko tytułu, a mianowicie tylko z tytułu posłowania do sejmu chorwackiego w Zagrzebiu. Czterdziestu Chorwatów w parlamencie budzyńskim nie są wcale posłami do tego parlamentu, lecz delegatami do niego od sejmu chorwackiego i jego tylko podlegają władzy. Kwestya zawieszenia ich nietykalności na żądanie sądu może więc być rozstrzygana tylko w zagrzebskim sejmie.

W tymże czasie ofiarował ban 5.000 K stowarzyszeniu istryjskiemu słowieńsko-chorwackiemu „Družba sv. Cirila in Metoda“, a wiadomość o tem kazał podać w chorwackim dzienniku urzędowym *Narodne Novine*, co podnosi niezmiernie cechę i moralne znaczenie tego daru. Jestto niemal enuncyacya polityczna, a wielce śmiała.

Wybory do sejmu odbyły się spokojnie i legalnie. Według zestawień urzędowych wynosiła ilość wyborców 190.096, z czego głosowało 59%, tj. 112.249. Koalicya serbochorwacka otrzymała głosów 37.717; frankowcy i katolicko-narodowi 23.086; kandydaci rządowi, tj. bezwzględni zwolennicy bana 20.126; ludowcy 14.029; starczewicianie 10.264; radykali serbscy 3.307; dzicy 1 964, a socyaliści 1.756 głosów. Krzeseł poselskich zdobyto:

Koalicya 35, ban 18, stranka prava 15, starczewicianie 9, ludowcy 9, serbski radykał 1 i 1 dziki. Ponieważ Radić oświadczył się stanowczo za popieraniem bana, zebrało się więc 27 głosów dla polityki bana. Ale posłowie ci nie są zorganizowani stosownie. Dzielą się aż na trzy grupy.

Ani owych 18 posłów, wybranych pod hasłem bana nie zorganizowało się w jednolity klub. Sześciu z nich, należących do t. zw. grupy slawońskiej, założyło osobny „saborski neodvisni središnji klub“ (Dr. Neumann, Dr. Papratović, Dr. Pinterović, Dr. Radičević, Dr. Šišić i Dr. Zbierzchowski). Klub oświadczył, że będzie popierać bana wobec tego, iż reskrypt królewski zapowiada rozpatrzenie spraw spornych pomiędzy Chorwacyą a Węgrami.

Zwolennicy bana zapewniali, że układy stronnictw z banem muszą się udać, skoro z 88 posłów aż 62 uznaje w zasadzie ugodę chorwacko-węgierską, a nie wielu znalazłoby się takich, którzy wzięliby na swoje sumienie, żeby sejm zeszedł na niczem, skoro zalega tyle naglących spraw.

Wkrótce koalicya oświadczyła gotowość do rokowań z banem co do utworzenia większości, zastrzegając jednak z góry, że musi nastąpić rewizya pragmatyki kolejowej, jeżeli ma być porozumienie. Konferencya odbyła się 12 listopada, poczem ban udał się do Budzynia i Wiednia, a w trzy

dni potem mogły *Narodne Novine* podać wiadomość, że węgierskie ministerstwo handlu zajęte jest właśnie rewizyą pragmatyki. *Pokret* i *Srbobran* przyjęły tę wiadomość bardzo sceptycznie, przypominając, jak to było ze sprawą dymisyi Aranickiego; czy i teraz nie znajdzie się ban w tem położeniu, że nie będzie mógł dotrzymać przyrzeczenia?

Jakkolwiek większość nie została zorganizowana, zwołano sejm na 22 listopada. Ban uszanował przepis konstytucyi chorwackiej, że nowy sejm ma być zwołany najpóźniej w trzy miesiące od rozwiązania poprzedniej Izby. Zwołano go więc na krótko dla (szlachetnej tym razem) formalności, a zarazem jakby na próbę sił.

Wraz pojawiła się — dymisya Aranickiego i abolicya procesu zagrzebskiego.

Reskrypt zaś królewski, zwołujący sejm, zapowiedział zwołanie deputacyj regnikolarnych celem porozumienia się co do różnic w interpretacyi ugody 1868 r. Koalicya nie ustąpiła jednak od swego, że sprawa pragmatyki kolejowej ma być załatwiona wpierw. Odroczono więc sejm — a tymczasem będą się dalej toczyły układy.

Dnia 18 listopada miał Stjepan Radić, wydawca *Domu*, odczyt w Zagrzebiu o zasadach i taktyce polityki chorwackiej. Zdaniem twórcy stronnictwa ludowego osią polityki chorwackiej nie może być ugoda z 1868 r., lecz może i winna nią być kwestya zakresu władzy bana. Ban odpowiedzialny jest przed sejmem zagrzebskim, co stwierdzono za czasów bana Mažuranića ustawą z 10 stycznia 1884. Nawet Khuen, bywszy banem (a pozostawił po sobie pamięć jak najgorszą), rozszerzył kompetencyę tego dostojeństwa, poddawszy banowi prokuratoryę państwową. — Rozszerzał ją nawet Rauch, skoro, jako ban, porozumiewał się bezpośrednio z ministerstwem spraw zagranicznych i z królem. Przechodząc do stosunku do Serbów, stwierdzał mowca, że jakkolwiek ze stanowiska etnograficznego Chorwaci i Serbowie są niewątpliwie jednym narodem, jednakowoż politycznie są rozbieżni. Serbowie osłabiali i osłabiają politykę chorwacką. Koalicya serbochorwacka dotychczas nie zajęła jasnego stanowiska wobec anneksyi Bośny i nie objawiła żadnego programu co do prawnopaństwowej przyszłości tej ziemi. Słusznie określił Loiseau w dziele „Słowiański Bałkan i przesilenie austryackie“ istotę przeciwieństwa Chorwatów i Serbów. Tkwi ono w tem, że ci uważają Austryę za więzienie dla siebie i Słowian wogóle, podczas gdy tamci sądzą, że mogą dojść swych praw i pod Habsburgami. Na miejsce jedności politycznej ze Serbami wysuwa się jedność taka ze Słowieńcami, utwierdzona już praktyką publicznego życia w Istryi. Sprawa bośniacka, jak wogóle wszelka terytoryalna polityka chorwacka nie da się zdaniem posłą St. Radića uprawiać skutecznie inaczej, jak na tle polityki cesarsko-austryackiej. Zgubną jest teorya Starčevića, że trzeba czekać, aż chorwackie prawo państwowe będzie uskutecznione samą siłą rzeczy, ale zgubną też teorya Pliverića, jakoby nie należało nigdy wywoływać zatargu z Węgrami.

Największy dziennik chorwacki, *Obzor*, obchodzi w bieżącym roku 50-letni jubileusz istnienia. Finansująca go firma drukarsko-wydawnicza „Dionička Tiskarna“ (drukarnia związkowa) wyda z tego powodu pod koniec roku jubileuszowy numer *Obzora*, który ma zawierać około

100 stronnic wielkiego formatu i poda przegląd 50-letniej działalności pisma w chorwackiem życiu publicznem. Wszyscy prenumeratorowie otrzymają ten numer gratis.

Obzor był zawsze pismem patryotycznem, dającem w polityce pierwszeństwo taktyce umiarkowanej, ale nie wyrzekającem się w razie potrzeby opozycyi nawet ostrej. Jest to pismo poważne, redagowane nader starannie i szczyczące się szeregiem imion wśród swych współpracowników.

KRONIKA.

(h) Ruska kronika.

Towarzystwo Proświta ogłasza, że od początku założenia (1869 r.) aż do 1 czerwca 1910 r. zapisało się 30.110 członków, z których znaczna większość atoli już nie żyje. Czynnych członków Towarzystwo liczy 13.520, z których tylko 7.100 uiściło wkładki za r. 1910, reszta zaś tylko za r. 1909.

Szczegółowy wykaz „prasy ukraińskiej“ daje *Pyśmo z Proświty* Nr. 8/9. W Galicyi wychodzą:

1) trzy dzienniki we Lwowie: *Diło* (zał. 1880 r., 5.000 egz., własność „Spółki wydawniczej Diło“), organ narodowo-demokratyczny ukraińskiej partyi; *Rusłan*, organ „pogrzebanej ugodowej partyi ukraińskiej, z której pozostał tylko właściciel organu, prof. Al. Barwiński“ (wydaje się kosztem ministerstwa spraw zagranicznych, około 500 egz.); „urzędówka“: *Narodna Czasopyś*, wychodzi już 20-ty rok, jako dodatek do urzędowej *Gazety Lwowskiej* (2.500 egz.);

2) co drugi dzień wychodzi popularne czasopismo *Narodne Słowo*, przeznaczone dla mieszczan i robotników (3-ci rok istnienia, 2.000 egz.);

3) trzy partyjne tygodniki we Lwowie: najpopularniejszy i najwpływowszy tygodnik *Swoboda*, organ narodowo-demokratycznego stronnictwa (14-ty rok istnienia, 6.000 egz.); radykalny *Hromadśkyj Holos* (1.500 egz.) i socyalistyczna *Zemla i Wola*, najmniej poczytna i popularna;

4) od 5 lat wychodzący we Lwowie dwutygodnik klerykalny *Osnowa* (znikoma liczba prenumeratorów, — a nadto w Przemyślu, Tarnopolu i Stryju po jednem czasopiśmie wydawanem kosztem powiatowych organizacyj narodowo demokratycznego stronnictwa;

5) cztery pisma ekonomiczne, z których najważniejszem jest *Ekonomist*;

7) miesięczniki: *Literaturno naukowyj Wistnyk* wychodzi w dwóch wydaniach (lwowskiem i kijowskiem); pedagogiczne *Uczitel* i *Nasza Szkiła*, duchowna *Nywa*, oświatowe *Pyśmo z Proświty*, naukowe *Prawnyczyj Wistnyk*, *Zapiski Nauk. Tow. im. Szewczenki* i t. d., dla młodzieży szkół średnich *Moloda Ukraina*.

Na Bukowinie wychodzi 6 czasopism (dwutygodniki i miesięczniki), z których najpopularniejszym jest *Narodnyj Hołos*.

Na Rusi węgierskiej wychodzą 2 tygodniki, z których jeden wydaje rząd węgierski.

Na Ukrainie rosyjskiej wychodzą: w Kijowie jeden dziennik *Rada* i 9 innych czasopism; na prowincyi 2 czasopisma.

† **Bazyli Domanicki**, młody uczony ukraiński, umarł w 33 roku życia 23 września b. r. Był rodem z Ukrainy, lecz prześladowany przez rząd rosyjski musiał wyemigrować. Dopiero przed samą śmiercią wyjednano dlań wolny powrót do ukochanej ojczyzny, której już, niestety, nie ujrzał. Przez dłuższy czas leczył się w Zakopanem. Pracami swojemi stale zasilał *Zapiski nauk. Tow. im. Szewczenki*. Zjednał sobie szerokie uznanie popularnemi broszurami („O Słowakach“, „O Bukowinie“, „O Galicyi“ i t. d.) Będąc w Zakopanem pracował nad drugiem wydaniem „Istorii Ukrainy-Rusi“ Arkasowej oraz „Kobzara“ Szewczen-

ki. Brał również wybitnie czynny udział w życiu społecznem i narodowem.

Lekcye historyi „ukraińskiej“ w Moskwie rozpoczął prof. Piczeta na wyższych kursach żeńskich, na które uczęszcza przeszło 300 słuchaczek. Pierwszą inauguracyjną lekcyę poświęcił młody lektor wyjaśnieniom, dlaczego wykłada historyę Ukrainy. Jego pogląd na ukrainizm streszcza się mniej więcej w tych słowach: centralistyczna polityka rosyjska nie osięgnęła swego marzenia, żeby zniszczyć ruski naród, za naszych czasów Słowiańszczyzna przystępuje do walki z narodami germańskimi, co też Rusini muszą mieć na uwadze; tylko wówczas Słowianie zwyciężą, kiedy każdy z narodów słowiańskich będzie silny, jako nacya; uznanie ze strony Rosyi prawa samoistnego rozwoju narodowego Ukrainy będzie ubezpieczeniem przyszłej potęgi Rosyi.

Na pomnik Szewczenki, który ma stanąć w Kijowie, zebrano dotąd przeszło 67 tysięcy rubli. Rozpisany przez komitet konkurs na pomnik kończy się z dniem 1. lutego st. st 1911 r. Nagród wyznaczono trzy: 1.500, 1.000 i 500 rubli.

Cały naród przygotowuje się do uroczystego obchodu 50-tej rocznicy śmierci Szewczenki który się odbędzie w roku przyszłym (wypada na 1 lutego).

Ruskie Towarzystwo lekarskie powstało we Lwowie. Godność prezesa na pierwszy rok administracyjny powierzono Drowi Eugeniuszowi Ozarkiewiczowi. Z pomiędzy uchwał, jakie zapadły na walnem zgromadzeniu, zasługują na uwagę następujące: 1) poczynić usilne starania u dotyczących władz, aby nastąpił podział wschodnio-galicyjskiej Izby lekarskiej na polską i ruską; 2) przystąpić do ułożenia i wydania fachowej ruskiej terminologii lekarskiej i weterynaryjnej w porozumieniu z towarzystwami rosyjskiej Ukrainy; 3) rozpocząć wydawanie fachowego czasopisma i 4) opracować statut dla utworzenia funduszu na ubezpieczenie wdów i sierot po lekarzach. Do Towarzystwa zapisało się przeszło 60 członków.

Sprawa teatru narodowego ruskiego we Lwowie o tyle się posunęła naprzód, że została przekazana sejmowej komisyi budżetowej. Stan budowy teatru — według wyjaśnień komitetu — przedstawia się tak: plany teatru na 900—1000 sążni sporządziła wiedeńska firma Felner i Helmer; stan funduszów: kupno placu 300.000 K, regulacya ulic 50.000 K, budowa teatru 800.000 K, wewnętrzne urządzenie 100.000 K — razem 1,450.000 K, Z zebranych funduszów pokryto 350.000 K i pozostało jeszcze 114.000 K. Brak jeszcze jednego miliona. Z uwagi na to, że składki jeszcze wpływają, komitet sądzi, że zapomoga krajowa w kwocie 450.000 K pozwala rozpocząć budowę.

Wydział krajowy opracował szkic aktu fundacyjnego „ruskiego teatru narodowego“, obejmujący 15 punktów, z których pierwsze 4 dotyczą celu fundacyi. Fundacyą zarządza Rada, złożona z 13 członków: po 2 delegują Towarzystwa: Proświta, Ruska Besida, im. Kotlarewskiego, im Szewczenki i Związek towarzystw śpiewackich i muzycznych; dwóch wyznacza Wydział krajowy i jednego Rada m. Lwowa. Urzędowanie członka trwa 3 lata. Nadzór nad fundacyą pełni Namiestnictwo, które ma prawo wysyłać na posiedzenia Rady pełnomocnika z głosem doradczym, oraz unieważniać uchwały Rady, gdyby się sprzeciwiały celom fundacyi.

Na pogrzebie prezesa I Dumy Muromcewa w Moskwie — jak donosi korespondent *Diła* — zaszedł incydent między znanym adw. Lednickim, posłem do I Dumy, a niejakim Perfeckim, włościaninem-ukraińcem z Chełmszczyzny. Nie dość, że adwokat Lednicki — jako gospodarz pogrzebu — usiłował nie dopuścić Perfeckiego do wygłoszenia mowy nad grobem „ukochanego prezesa“ w imieniu chełmskich współbraci, lecz — twierdzi korespondent — jeszcze się ośmielił ku ogólnemu zgorszeniu przerywać mu, gdy wygłaszał takie zdanie: „Jeden koniec pałki spoczywa w rękach wszechpolskich szlachciców, drugi — w rękach prawosławnego duchowieństwa, zaś sam środek pałki dławi chełmski lud“.. Publiczność podobno przyjęła mowę Perfeckiego bardzo życzliwie,

zmuszając Lednickiego do milczenia.

(*k*) **Żulin a Denysowo**. W *Przeglądzie lwowskim* czytamy: Że fałsz ma siedmiomilowe buty, a prawda pełza żółwim krokiem, przekonać się można najlepiej z faktu, iż kłamstwo o pobiciu chłopca ruskiego w Żulinie rozległo się lotem błyskawicy po całej kuli ziemskiej, a natomiast prawda, że nauczyciel Rusin Andrzej Wróblewski pobił 12-letniego chłopca polskiego w Denysowie pod Tarnopolem tak silnie linią, że mu zadał ranę na głowie pół centymetra szeroką i że chłopca musiano odwieźć do szpitala do Tarnopola, nie rozeszła się dotąd nawet po Galicyi, jakkolwiek to pobicie dziecka stało się jeszcze 31 października n. st.

O emigracyi w Ameryce podaje w nr. 224 *Diło* bardzo ciekawe dane. Rusinów w Północnej Ameryce jest blisko 800 tysięcy. Z tego na Stany Zjednoczone przypada pół miliona, na Kanadę zaś 300 tysięcy.— Z liczby 14 czasopism, wydawanych w Ameryce, najpoczytniejszą jest *Swoboda*, orhan „ruskiego związku narodowego" (12.000 egz.) Mniejszą poczytnością cieszą się (w Stanach Zjednoczonych wydawane): *Duszpastyr* (2.500 egz.), *Sojuz* (1.500 egz.), *Hajdamaki*, *Amerykańska Ruś* (500 egz.) i *Prawda* (te dwa ostatnie moskalofilskie). W Kanadzie wychodzi 6 ludowych pism, z których najpoczytniejszem jest *Kanadijski Fermer* (5.000 egz.). W Brazylii wychodzą tylko 2 czasopisma.

Towarzystwo im. M. Kaczkowskiego według ostatniego sprawozdania (1909/10) liczy 10.700 członków [+700], których większość atoli nie uiściła wkładek [wpłacono 12.314 koron, nie wpłacono 28.000 koron]. Czytelń miało 1097 [+47], choć w rzeczywistości tylko z 426 czytelń nadeszły sprawozdania. Finanse Towarzystwa są w stanie opłakanym. Sam dług za wydawnictwa wynosi 14 tys. koron. Towarzystwo wydało jednak 98.000 egz. książek i 90.000 egzemplarzy czasopisma *Listok.*

Czeska kronika.

Grób Žižki odnaleść miano w piątek 25 listopada we framudze kaplicy wieżowej restaurowanego od trzech lat kościoła św. Piotra i Pawła w Czasławiu. Na przeciwległej ścianie znaleziono w drugiej framudze zamurowaną oprawę starej książki z napisem: „Ossa inclyti ducis Bohemiae Ioannis Žižka in muro aversario clandestine osservantur".

Kościół ten należał do r. 1623 do utrakwistów. W owym roku odebrano go im, a wykonawca cesarski Wilhelm z Vřesowic, menniczy kutnohorski, grób Žižki zburzył, zniszczył, lecz ciała w niem nie znalazł. Zdążono kości w małej trumiencie na czas schować i zamurować w owej kaplicy we wieży, o czem tradycya przechowywała się aż do naszych czasów. Archiwaryusz miejski, Józef Dlabaček robił też od trzech lat systematyczne poszukiwania w kościele.

Jest świadectwo historyograficzne z r. 1629, że „wszystko, co w grobie było, przeniesiono szczęśliwie na bezpieczniejsze miejsce". Jest atoli także notatka w nekrologu strachowskim o zasługach byłego dziekana czasławskiego Anzelma Gramsi'ego, że wyszukał kości Žižki i spalił je na rynku czasławskim w r. 1639 i że lud burzył się o to.

Do następnego zeszytu sprawa wyjaśni się zapewne; na razie relata refero.

Sprawą zajmują się bardzo gorąco dzienniki. Łatwo to zrozumieć, oby to jednak nie przeszkadzało naukowemu dochodzeniu prawdy. Od dwóch lat już toczy się u nas sprawa o grób Warneńczyka, pozostawiona wpierw uczonym do rozstrzygnięcia.

Wielki zapis dla czeskiej akademii. W Pradze otwarto testament zmarłego niedawno architekta Antoniego Wiehla. Zapisał wspaniałą willę w Smolnicy pod Pragą i kamienicę w Pradze, wartości miliona koron czeskiej akademii; zasobną bibliotekę i cenny zbiór starożytności muzeum miejskiemu w Pradze; znaczną galeryę obrazów przeznaczył dla praskiej publicznej galeryi Rudolfinum i nadto 10,000 koron dla czeskiej Macierzy szkolnej. Przy akademii ma powstać z jego zapisu osobny fundusz, z którego odsetki przeznaczane będą na nagrody za prace naukowe z zakresu nauk technicznych. Willa w Smolnicy ma słu-

żyć na letnie mieszkania dla czeskich literatów i artystów.

† Beneš Knüpfer. Jeden z najwybitniejszych malarzy czeskich, Beneš Knüpfer, wskoczył do morza z pokładu parowca „William“ w drodze z Rjeki do Ankony dnia 20 listopada. Urodzony we Fridstein w Czechach 1846 r., studyował w Pradze. Zrazu malował sceny z życia ulicznego praskiego; następnie został uczniem i kontynuatorem Piloty'ego. Ilustracye wszystkich narodów podawały w swoim czasie reprodukcye słynnego jego naówczas obrazu „Jaje Kolumba“. W galeryi düsseldorfskiej znajduje się wielkie płótno jego: „Götz von Berlichingen“, zaliczane do najwybitniejszych dzieł niemieckich szkół akademickich. Porzuciwszy i ten rodzaj, osiadł w Rzymie i malował odtąd wyłącznie sceny i widoki morskie, często też fantazye z trytonami, delfinami, nymfami etc. Wiele z tych obrazów zakupywano do publicznych galeryi. W ostatniem dziesięcioleciu zmienił znów tematy, lubując się w przedstawianiu melancholii. Raz jeszcze uśmiechnęła mu się sława, gdy namalował obraz zatytułowany: „Owidyusz w Poncie“ (stanowiący reminiscencyę z wycieczki artysty na Krym). Knüpfer był do ostatka bardzo płodny, ale coraz rzadziej znajdował nabywców. Zmieniły się radykalnie pojęcia o sztuce, nie szedł z nowymi prądami i wypadło mu przeżyć własną sławę. Przed 20 laty był bożyszczem krytyki czeskiej, a osoba jego tytułem do sławy i dumy narodu. Ale gdy przed dziesięciu laty ubiegał się o katedrę w Akademii praskiej (po Mařaku), nie otrzymał jej. Urządziwszy przed dwoma laty ogólną wystawę swych płócien w praskiem „Rudolfinum“, spotkał się już z obojętnością i doznał też ze strony krytyki cierpkiego zawodu; nie uszanowano nawet przeszłości jego. Kochał jednak Pragę i niemal corocznie ją odwiedzał. Bawił tam właśnie od początku listopada i jak się teraz okazuje — nietylko postanowienie odebrania sobie życia, ale nawet szczegóły rodzaju samobójstwa były już ułożone w jego myśli. Przyjechał pożegnać się z Pragą i uporządkować swe interesy.

Narodni Jednota na Morawach rozpoczęła dnia 20 listopada uroczyście 25-ty rok działalności. Założył to stowarzyszenie, przeznaczone dla ochrony mniejszości czeskich na południowo zachodnich Morawach. Leander Čech, profesor w Telči, w r. 1886. Siedzibą stowarzyszenia było od początku Berno.

Początki były trudne — dalszy rozwój świetny. W pierwszym roku istnienia zebrano na cele szkolnictwa narodowego 480 K, a w ostatnim roku 111.225 K — w ciągu 25 lat 547.026 K. Kół miejscowych było w 1886 roku 22, w 1906 r. 171, a w 1910 r. już 432! Członków: w 1886 roku 1625, w 1906 r. 8000, a w 1910 roku 20.129. Członków-założycieli miano w pierwszym roku 15, w 1906 roku 54, a obecnie jest ich okrągła setka.

Czynność „Jednoty“ jest nader rozległa. Obejmuie takie rozmaite sprawy, jak opiekę nad emigracyą, kolonizacyę wewnętrzną, agitacyę wyborczą, sporządzanie map etnograficznych jak najbardziej szczegółowych, kataster narodowy, spisy ludności, rozdział podatków, terminologię czeską w przeróżnych działach nauki i przemysłu, dopilnowanie wpisów do szkół, stypendya, bursy i pensyonaty, szkoły gospodarcze itd.

„Jednota“ utrzymuje własnym nakładem szkołę gospodarską w Znojmie, pensyonat żeński imienia Světlej we Wałaskiem Międzyrzeczu i 306 czytelń. Wydaje *Věstnik Narodní Jednoty*, a subwencyonuje trzy czasopisma: *Žarský, Obzor, Buditel čitarny*. Wiele zachodu i grosza poświęca się na odczyty i w roku bieżącym wydano na te cele blizko 20.000 koron.

Wydano Księgę pamiątkową, podającą dokładny obraz działalności „Jednoty“; jestto pierwszorzędne źródło do dziejów politycznych i kulturalnych Moraw.

(ek). **Publiczna biblioteka miasta Pragi**, założona w r. 1891 z każdym rokiem coraz świetniej się rozwija. Oprócz niej posiada Praga dwie wielkie biblioteki: muzealną i uniwersytecką i kilka mniejszych, oraz zawodowe. Wszystkie jednakże te instytucye służą jedynie zastępowi studyujących i uczonych badaczy, a najszersze warstwy społeczeństwa z różnych powodów korzystać z nich

nie mogą. Żeby temu brakowi zapobiec, założono bibliotekę miejską. Celem jej było dostarczyć czytelnikom wszelkiego wieku i wykształcenia odpowiedniej, wartościowej lektury, a więc stać się żywem źródłem pouczenia i duchowej rozrywki dla najszerszych warstw obywatelstwa. Odpowiednio do tego zarząd gromadzi wszystko, co się pojawi w handlu księgarskim: beletrystykę, książki zawodowe, broszury, mapy, wszystkie dzienniki i jak największy wybór czasopism. Powszechnie przypuszcza się, że biblioteki ludowe, mające służyć przedewszystkiem rozrywce, posiadają jedynie zbiory powieści. Tu jednak nie znajduje to zastosowania. Albowiem liczni czytelnicy starają się w tej bibliotece pouczyć w swych praktycznych zawodach. Podręczniki prawnicze, przemysłowe, technologiczne, z zakresu hygieny, ekonomii i t. p. są niciami łączącemi tę ludową instytucyę z duchowem życiem najszerszych warstw praskiego obywatelstwa.

Pięknym jest w tej bibliotece dobór współczesnych literatur słowiańskich, a także francuskiej, niemieckiej i t. p. Dział literatury polskiej tak z doby romantycznej, jak i czasów najnowszych jest stosunkowo dosyć liczny. Niezaprzeczenie i dziś jeszcze po 19 latach istnienia ma biblioteka pewne braki, jednakże poprawia się to z każdym dniem.

W przeszłym roku przeciętnie było czytelników dziennie 310, którym wydawano przeciętnie 646 tomów. Obecnie zarząd miasta nosi się z zamiarem wybudowania bibliotece odpowiedniego, okazałego gmachu.

(mg). Wyszło właśnie za drugie dziesięciolecie obszerne sprawozdanie. Książnica posiada już dzisiaj 6 filij obok centralnej czytelni i wypożyczalni. Z końcem roku 1891 (pierwszego swej czynności) miała biblioteka tomów 4161, a z końcem roku 1909 liczba inwentarska urosła do 77.353 tomów. Wzrost czytelnictwa i pożyczania przedstawia się okresami w liczbach następujących: w r. 1891 było czytelników 1.120 a pożyczono tomów 4.684; w r. 1894 było czytelników 9.985 a pożyczono tomów 26.384; w r. 1897 było czytelników 15.050 a pożyczono tomów 50.532; w r. 1900 było czytelników 37.341 a pożyczono tomów 81.150; w r. 1904 było czytelników 46.043 a pożyczono tomów 100.735; w r. 1909 było czytelników 79.974 a pożyczono tomów 166.726.

Księgozbiór zaopatrzony jest przedewszystkiem we wszelkie dzieła o Czechach i narodzie czeskim, tak po czesku jak i w innych językach pisane. Na drugiem miejscu postarano się o to, by każdy mógł znaleść pouczenie w swym zawodzie praktycznym, na trzeciem miejscu ujawnia się piecza o wszystkie dzienniki czeskie. W zakresie literatury posiada książnica miejska między innemi bogaty księgozbiór polski (wielu autorów w pełnych wydaniach), a w nim na czoło się wysuwa literatura emigracyjna w wydaniach pierwotnych.

Słowacka kronika.

(ek.). **Kasa słowacka w Starej Wsi.** Miasteczko to stanowi ognisko dla 36 magurskich spiskich wsi. Samo ma przeszło połowę polskiej ludności, a dookoła otoczone polskiemi wsiami, mogłoby być siedliskiem dobrze prosperujących związków gospodarczych lub instytucyj finansowych. Polska prasa zwracała uwagę już od dawna na te dogodne warunki, jednakże bez żadnych realnych skutków. Skorzystała zato kompania madiarsko-żydowska i założyła Kasę oszczędności, przytem zaś nie zaniedbywała popierania wpływów madiarskich. Przy ostatnich jednak wyborach do sejmu magurskie wsi głosowały za kandydatem ludowym, a nie rządowym. Z tego powodu Kasa oszczędności poczęła szykanować chłopów, długi ściągać, a pieniędzy nie pożyczała, choć miała trzy miliony wkładek, wyłącznie prawie chłopskich. W całym komitacie niema innej Kasy i ta okoliczność, oraz zemsta polityczna tak dalece ośmieliły Kasę, że już zaczęła przebierać między uiszczającymi wkładki, płaciła 2%, oprócz tego przy każdem wypowiedzeniu wkładek ściągała 2—6 kor. pod rozmaitymi pozorami.

Pod wpływem takich stosunków Słowacy postanowili założyć w stolicy Magurszczyzny filię Banku ludowego. Ks. Moyš rozwinął agita-

cyę wśród ludu, który zaraz wyjął 130.000 K z madiarskiej kasy, a umieścił je w słowackiej. Szczególnie ujęli sobie Słowacy ludność tem, że wprowadzili w użycie druki słowackie, a nie madiarsko-niemieckie, jak w „szparkasie“ madiarskiej. Panowie ze „szparkasy“ widząc powodzenie słowackie zaczęli przywabiać chłopów różnymi sposobami, a nawet rozwiązały się im języki, gdyż rozdają w spiskim dyalekcie drukowane broszurki ulotne. Nadto — jak wyraża się dr. Vavro Šrobar w *Slovenskim Denniku* — „Magurczanom nie wymyślają już od głupich Polaków, ale tytułują ich pięknie „Łaskawy panie“. Uznają więc Madiarzy, że mowa górali spiskich jest polską.

(mg) Dr Šrobar wróży sobie i narodowi słowackiemu wiele z ludu spiskiego. „Spiszak przeżył kulturę husycką, polską i niemiecką — z każdej zostało w nim po kąsie dobrym z tych wpływów historycznych i tuszę, że Słowak spiski, gdy się raz przebudzi na całej linii, wniesie dużo pięknego i poważnego do duchowej skarbnicy narodu słowackiego“.

(k) Cóż my na to? — Ha! Skoro Polacy nie chcą nic robić dla swych rodaków na Spiszu, lepiej niech się słowaczą, niż żeby mieli grzęznąć w madiaryzacyę!

(mg) **Szkolnictwo słowackie** w żupanii trenczańskiej jest tak mizerne, że z 389 gmin jest 123 bez szkoły, a około 10.000 dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej, nie umie ani czytać ani pisać. Analfabetów w tym okręgu jest 75%, są nawet gminy, gdzie na 100 ledwie 4 lub 5 opanowało alfabet. A przecie Słowacy chcą oświaty i posyłają swe dzieci do szkół czeskich w sąsiednich Morawach. Potrzebę szkół własnych zrozumiał i župan Szalavszky i z deputacyą prosił ministra o szkoły, ale z tego tylko powodu, „iż takich stosunków mizernych używają narodowości przeciw madiarstwu na korzyść czesko-słowackiej jedności, wysyłają młodzież do szkół praskich, nawet na tamtejszą wszechnicę. Z Czech wracają się uczniowie słowaccy gotowymi agitatorami narodowościowymi“.

Słowieńska kronika.

(w). **Ziemia słowieńska na Węgrzech** dzieli się na cztery okręgi, t. zw. „okraje“: Murska Sobota, Bakša, Doinja Lendava i Monošter. Podział ten urządzili Madiarzy i to w ten sposób, żeby w każdym okręgu mieli większość. Mimo to Murska Sobota posiada jedak więcej ludności słowieńskiej, a więc przy odpowiedniem przeprowadzeniu wyborów, Słowieniec mógłby otrzymać mandat. W okręgu zaś Bakša, gdzie jest kilka żup czysto słowieńskich, możnaby również pokierować wyborami na korzyść ludności słowieńskiej.

Tymczasem trudności napotyka się przedewszystkiem w małem uświadomieniu i zaniedbaniu organizacyjnem Słowieńców. Lud ubogi, nie mający czasopism i kierownictwa, nie może samodzielnie bronić swych interesów, tembardziej, że spotyka wiele trudności i przeszkód ze strony przeciwników. Nauczycielstwu zaś i miejscowym urzędnikom obojętną jest sprawa ludności słowieńskiej. Między duchowieństwem również rzadko można spotkać obrońcę ludu, przeważnie kryją się pod silniejsze skrzydła. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach trudno myśleć, aby Słowieńcy na Węgrzech przeważyli na swą stronę szalę życia politycznego w swoich okręgach. Agitacya z zewnątrz jest bardzo utrudniona i energicznie tępiona przez władze węgierskie.

Nowa ordynacya wyborcza dla miasta Lublany otrzymała sankcyę monarszą i niebawem mają się odbyć wybory do rady miejskiej, rozwiązanej z powodu sprawy Hribara. Dotychczas byli liberali słowieńscy nieograniczonymi panami administracyi miejskiej; nie było nawet opozycyi w radzie gminnej, bo wszystkie mandaty radzieckie spoczywały w ręku jednego stronnictwa.

Według nowej ordynacyi rada miejska liczyć będzie 45 członków. Dodaje się do dotychczasowych trzech jeszcze czwartą kuryę wyborczą, kuryę powszechną. Zaprowadza się wybory proporcyonalne, skutkiem czego mogą Niemcy wejść na nowo do Rady, jakkolwiek z nieznaczną ilością krzeseł radzieckich. W Lu-

blanie przypuszczają, że na podstawie nowej ordynacyi będą mieli przy najbliższych wyborach liberali około 25 krzeseł, a więc posiędą większość nieznaczną, nie dopuszczającą zbytniej pewności siebie. Stronnictwo Šusteršiča (katolicko-ludowe) zdobędzie prawdopodobnie 10 mandatów. Pozostałych 10 mandatów przypadnie Niemcom i socyalistom. Wybory przybiorą całkiem inną cechę; dotychczas były one tylko sprawą wewnętrzną słowieńskiego stronnictwa liberalnego, obecnie zaś trzeba będzie prowadzić walkę na kilka frontów lub zawierać kompromisy.

Najliczniejsze stowarzyszenie słowieńskie „Družba svetega Mohorja" w Celowcu w Karyntyi, towarzystwo wydawnicze książek pouczających i religijnych dla ludu słowieńskiego, liczy obecnie 85,789 członków. Należy więc do niego każdy 14 Słowieniec, licząc już kobiety i dzieci, a zatem niemal połowa rodzin należy do „Družby" i otrzymuje jej publikacye.

(w) **Teatr słowieński w Tryeście**, prowadzony przez zasłużonego artystę Leona Dragutinović'a, wystawi w obecnym sezonie szereg sztuk z repertuaru ogólno słowiańskiego: mianowicie 8 utworów rosyjskich, 3 chorwackie, 3 serbskie i jedną czeską. Z polskich wejdą w program: „Pan Jowialski", „Dame in husari", „Jedan od nas mora se ženiti", „Doktor Müller", „Njegova jedinica" (Posażna jedynaczka) — Fredry; „Gostoljubna kuća" (Dom otwarty), „Bohaći" (Grube ryby) — Bałuckiego i Przybyszewskiego „Za srećom" (Dla szczęścia). Warto, aby i nasza scena uwzględniała więcej dramat słowiański.

Chorwacka kronika.

† **Ivan Kozarac**, poeta i powieściopisarz, zmarł dnia 16 listopada we Vinkovicach. Zasłynął czystością i pięknością języka, który wydoskonalił zakomicie. Tematy czerpał z niziny slawońskiej. Lud tamtejszy opisywał wybornie, najlepiej w powieści Gjuka Begović, z całym bezwzględnym realizmem.

Urodzony 8 lutego 1883 we Vinkovicach, uczęszczał tam do gimnazyum, którego jednak nie ukończył dla braku środków materyalnych. Wstąpił do wojska i jeszcze przed dwoma laty był wachmistrzem w kadeckiej szkole w Karłowcu, poczem został sekretarzem stowarzyszenia chorwackiego literatów w Zagrzebiu.

Pierwsze poezye ogłosił w roku 1903 w czasopiśmie *Vienac*. W roku 1906 wydał nowele slawońskie p. t. „Slavonska krv". Ostatnia jego powieść „Gospodjica od zelenega drveta" wyszła tej jesieni w fejletonach pisma *Slobodna Riječ*.

(w) **Medjumurje**, należące do korony węgierskiej, liczy przeszło 90 tysięcy ludności chorwackiej.

Poszukiwaczom łatwego rozwiązania kwestyi słowiańskiej na Węgrzech przyszła do głowy oryginalna koncepcya. Twierdzą, jakoby powierzchowna [tj. język i obyczaje] słowiańskość tej ludności niczego jeszcze nie dowodziła o jej narodowości. „Ojczysty język mają chorwacki, lecz serce do ostatniej kropli krwi węgierskie; narodowe i plemienne oblicze — chorwackie, lecz ich świat duchowy i kultura zespolona jest wielką miłością z ziemią węgierską", pisze *Budapesti Hirlap* i przypomina Chorwatom rok 1867, gdy za trzy żupy slawońskie odstąpili Węgrom Medjumurje. Jakiem prawem i z jakiej racyi — zwraca się węgierski organ polemicznie do chorwackiego *Pokreta* — powinni mieć ci rzekomo Chorwaci, lecz Węgrzy duchem, w sejmie przedstawiciela Chorwata? Kraju tego nikt przecież siłą i przemocą nie odbierał Chorwatom — powiada w dalszym ciągu *Budapesti Hirlap* — a ludność Medjumurja rozumie i wierzy, że tylko „pod madiarskiem paladium może rozwijać swe siły i tylko w przedstawicielu madiarskim znajdzie rzecznika i obrońcę narodowych interesów. Chorwaci zaś nawołując dziesiątki tysięcy rodaków, aby nie zatracali swej odrębności narodowej, aby podkreślali swe stanowisko i żądali zadośćuczynienia ich potrzebom, popełniają nietakt! „Jak my nie idziemy do Slawonii po to, ażeby tam asymilować, czyli madiaryzować Chorwatów, tak również niechaj Chorwaci nie próbują rozagitować Medjumurje, gdzie ludność jest wierna i przywiązana po synowsku do ojczyzny węgierskiej".

(*ek*) **Nauka języków słowiańskich** w średniej szkole w Chorwacyi. W Chorwacyi zaprowadzono w siódmej i ósmej klasie szkół średnich przy chorwackim języku i literaturze obowiązkową naukę starosłowiańskiego języka. Najnowsze rozporządzenie urzędowe poleca rozszerzyć naukę chorwackiego języka w ósmej klasię tak, aby studenci, ucząc się metodą porównawczą języka starosłowianskiego, równocześnie poznawali zasady innych słowiańskich języków. Profesorzy więc chorwackiego języka obowiązani są w VIII. kl. wykładać na podstawie starosłowiańskiego języka rozwój głosek i form chorwackiego języka, równocześnie zaś mają zwracać uwagę na wielkie różnice głosek i form nowożytnych słowiańskich języków (czeskiego, słowieńskiego, rosyjskiego i polskiego). Tosamo rozporządzenie nakazuje profesorom polecać uczniom wyższych klas lekturę najznakomitszych dzieł słowieńskich poetów (Vodnika, Prešerna, Gregorčiča i t. d.) prozaików (Jurčića i t. d.) i udzielać im w tym względzie odpowiednich wskazówek. Słowieński język jest tak bliski chorwackiemu, jak słowacki czeskiemu, tak, że Chorwat może czytać słowieńskich autorów w oryginale bez większych przeszkód. W tym samym też celu kulturalnego zbliżenia Chorwatów i Słowieńców, wydaje Macierz słowieńska każdego roku jedną chorwacką książkę, a Macierz chorwacka jedną książkę słowieńską. Tak więc chorwacka władza poparła powyższem rozporządzeniem ideę kulturalnego wzajemnego poznania i zbliżenia Chorwatów i Słowieńców.

W słowieńskich szkołach średnich zaprowadzono wzajemnie za inicyatywą prof. Fr. Ilešica, prezesa Macierzy słowieńskiej, lekturę oryginalnych dzieł chorwackich: Mažuranića „Smrt Smail-age Čengijića“ i Gundulića „Osman“.

Nowy marszałek sejmu bośniackiego, dr. Safvet beg Bašagić liczy lat 40 (ur. 1870), pochodzi ze wsi Nevesinja i jest potomkiem jednego z najznakomitszych rodów szlacheckich bośniackich, czyli innemi słowy: z najwybitniejszych renegatów, którzy po zajęciu kraju przez Turków przeszli na muzułmaństwo, żeby się utrzymać przy majątku. Ojciec jego, Ibrahim beg, piastował najwyższe godności muzułmańskie. Matka była wnuczką słynnego Smail agi Čengića, opiewanego w pięknym eposie chorwackiego poety Ivana Mazuranića. Dr. Bašagić jest literatem, a przez jakiś czas redagował pismo polityczne *Ogledalo* sympatyzujące z okupacyą. Położył wielkie zasługi około szerzenia oświaty wśród współwyznawców. W stosunkach politycznych miewał zawsze barwę niewyraźną. Wybrany posłem dzięki osobistym zaletom, nie zdecydował się nigdy, do którego miałby należeć w sejmie stronnictwa. Zdaje się, że miał powody uważać się za kandydata na godność marszałka sejmowego i dlatego przestrzegał od początku swej neutralności politycznej.



Druk ukończono 12 grudnia 1910 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. Feliks Koneczny.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.

„PRĄD“

Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy

POD REDAKCYĄ

Ad. L. Szymańskiego.

Zeszyt 7—8 zawiera:

Z. FEDOROWICZ: Ruch religijno-etyczny wśród młodzieży.

J. PURYCKI: Sprawa trzeźwości.

E. WORONIECKI: Rzecz o „Panu Balcerze w Brazylii“ M. Konopnickiej.

KORESPONDENCYE: z Krakowa.

SPRAWOZDANIA i KRYTYKI: Ks. dr. I. Radziszewski: „Teologia a nauki przyrodnicze“, przez Z. F. Dr. F. W. Foerster: „Drogowskaz życia“, przez Józefa Ch. — Jan Bełcikowski: „Pamiętniki nauczyciela na pensyi“, przez Apolinarego Kr. — Notatki bibliograficzne. — Przegląd czasopism. — Z miesiąca. — Informacye. — Porady, wskazówki i wyjaśnienia. — Kronika. — Notatki statystyczne.

DZIAŁ MŁODZIEŻY: Czytelnik do czytelników. — Pięciolecie szkoły polskiej. — Z Kijowa. — Przystroili mnie (wiersz). — O samokształceniu uwag parę. — Z Libawy. — Dlaczego? (wiersz). — Koszary oświaty publicznej. — Z wycieczek wakacyjnych. Sprawa młodzieży.

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	Rb.	4
W Austryi rocznie	koron	10
We Francyi „	franków	11
W Niemczech „	marek	9

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa ul. Warecka Nr. 10 m. 11.**

Kraków — Sukiennice Nr. 17.